MARZENIE
O SZEHEREZADZIE

Copyright by Ryszard Czerwiński

Redakcja i korekta
Ryszard Reich

Opracowanie graficzne
Projekt okładki
Jolanta Czerwińska-Smagieł

Zdjęcia
Archiwum autora

Ryszard Czerwiński

MARZENIE O SZEHEREZADZIE

2013

„Płynąca woda nie zawraca. Podobnie życie. Uczyń je dla siebie i innych szczęśliwszym.”

Za mną 80 lat życia - lat lepszych i gorszych, lat zmagań z problemami i lat wielu radości - jak u każdego z nas. I rok ubiegły, kiedy to los okrutnie zakpił ze mnie, każąc mi podjąć dramatyczną decyzję… Może to wydarzenie, a może sugestia mojej córki sprawiły, że postanowiłem opowiedzieć o sobie. Opowiedzieć trochę o swoim życiu, a przede wszystkim o czasie, kiedy nieoczekiwanie spełniło się moje marzenie z dzieciństwa – marzenie o Szeherezadzie…

W tym miejscu pragnę podziękować mojemu przyjacielowi - Ryszardowi Reichowi, który mnie dopingował do pisania i cierpliwie korygował kolejne fragmenty mojego tekstu.

Książkę tę dedykuję mojej Rodzinie, która w szczególnie trudnych dla mnie chwilach podtrzymywała mnie na duchu i robi to nadal, a także wszystkim koleżankom i kolegom w podzięce za życzliwość i przyjaźń…

Dzieciństwo

Pojawiłem się na tym świecie w Kraśniku Lubelskim, wieczorem 8 maja 1932 roku, w dniu imienin mojego ojca Stanisława. Myślę że swoim przybyciem sprawiłem radość rodzicom. Jakoś jednak nigdy nie miałem okazji aby ich o to zapytać. Niestety tak jakoś się złożyło, że zostałem jedynakiem. Nie wiem też do dzisiaj jaka była przyczyna rozejścia się moich rodziców. Wszystkie moje wspomnienia z dzieciństwa wiązały się z dziadkami ze strony matki. Drugich dziadków odwiedzałem okazjonalnie, niezbyt często. Dziadek Józef był miejscowym adwokatem, zaś dziadek Stefan - właścicielem miejscowej apteki. Najmłodsze lata upłynęły mi na zabawach.

W końcu lata 1939 roku, jak wszystkie dzieci, przygotowywałem się do rozpoczęcia roku szkolnego. 1 września nie poszliśmy jednak do szkoły, bo tego pięknego poranka pojawiły się samoloty i rozpoczęło się bombardowanie Kraśnika, a jak okazało się później, całego kraju. Rozpoczęła się II wojna światowa.

Cały okres wojny i okupacji niemieckiej dokładnie utkwił w mojej pamięci. Zostaliśmy

wysiedleni z naszego domu, który spodobał się gestapo. Aresztowano dwóch moich wujków i dziadka, których później wywieziono do Oświęcimia i na Majdanek. Listy z obozów koncentracyjnych kształtowały życie mojej rodziny. Okres ten i późniejsze informacje o śmierci dziadka i jednego z wujków, pozostawiły niezatarty ślad w mojej psychice i późniejszym stosunku do Niemców.

Po pewnym czasie rozpocząłem naukę w polskiej szkole - bo taka powstała - oczywiście z ograniczonym zakresem nauczania, na jaki pozwoliły okupacyjne władze niemieckie. Brak było polskich książek, których nie można było kupić. Ocalałe sprzed wojny, wypożyczaliśmy sobie między kolegami. Korzystaliśmy też z tego, co pozostało w domowych bibliotekach. Jako dzieci nie rozumieliśmy wielu rzeczy, również tego, dlaczego nasze matki i babcie miały trudności ze zdobywaniem pożywienia. Nie wiedzieliśmy jak to się stało, że dziadek Józef został stracony na Majdanku za udział w akcjach wysadzania pociągów. Taką informację można było przeczytać na czerwonych plakatach rozwieszanych na mieście. Nigdy bym dziadka o to nie podejrzewał z racji jego wieku. Tak niestety było, a pozostały po nim jedynie wspomnienia i listy z niewoli

podpisane tylko numerami obozowymi.

Okres okupacji minął pewnego ranka 1944 roku, kiedy to do Kraśnika najpierw wpadła kawaleria kozaków w czarnych pelerynach, a później czołgi i piechota. Tak staliśmy się wolni.

Z rodzicami w Kraśniku

Lata nauki

Z chwilą wyzwolenia rozpoczęto zapisy do gimnazjum. Przyjmowano do niego uczniów po ukończeniu sześciu klas szkoły podstawowej. Zostałem przyjęty i rozpoczął się nowy etap mojego życia. Było harcerstwo, obozy i nowe otoczenie. Razem z nami uczyli się ci, którzy w czasie okupacji nie mieli możliwości dalszej nauki po szkole podstawowej, a także ci, którzy w tym okresie walczyli w partyzantce. Wiek uczniów był więc bardzo zróżnicowany. Po ukończeniu tak zwanej małej matury chciałem kontynuować naukę poza domem. Najpierw próbowałem dostać się w Warszawie do znanej szkoły Wawelberga na kierunek budowy samolotów. Pech chciał, że dostał się ktoś inny o takim samym imieniu i nazwisku jak ja, pomimo dość mocnego poparcia, które miałem poprzez ojca i jego znajomych z oddziału partyzanckiego.

Kolejne podejście do edukacji to wyjazd do Elbląga, gdzie powstała Państwowa Szkoła Żeglugi. Dostałem się tam bez problemu, od razu do drugiej klasy. W ten sposób włożyłem po raz pierwszy mundur marynarski, który jak

się później okazało, przylgnął do mnie na długie lata. Po ukończeniu tej szkoły na kierunku - drogi wodne, skierowany zostałem do pracy w Gdańsku do Dyrekcji Dróg Wodnych. Obowiązywał w tym czasie nakaz pracy, który z jednej strony zapewniał mi zatrudnienie przez okres trzech lat po skończeniu szkoły, ale również zabraniał dowolności wyboru miejsca pracy w kraju. Z chwilą likwidacji Dyrekcji w Gdańsku w roku 1952, zostałem przeniesiony służbowo do Bydgoszczy, gdzie podjąłem pracę w Rejonie Dróg Wodnych. Otrzymałem mieszkanie, bo taki był obowiązek zakładu w stosunku do osób z nakazem pracy. Nie nacieszyłem się nim długo, bo jesienią 1952 roku zostałem powołany do służby wojskowej.

Z kolegami w wojsku

Służba wojskowa

Zostałem skierowany do Marynarki Wojennej, a to wiązało się z trzyletnią służbą. Nie za bardzo było mi to na rękę. Byłem już w tym czasie żonaty od października 1951 roku. Niestety nie było wyjścia z tej sytuacji, ojczyzna wzywała i trzeba było swój obowiązek spełnić.

Okres służby wojskowej miło wspominam po latach. Z racji swoich zdolności plastycznych, w okresie rekruckim, podjąłem się wykonania ozdobienia naszej kompanijnej świetlicy, a później kina, w którym na ścianach przedstawiliśmy historię Marynarki Wojennej. W taki to sposób uniknąłem, wraz ze swoją ekipą, ćwiczeń niezbyt przyjemnych i bardzo wyczerpujących. Tak prześlizgnąłem się do przysięgi. Później była Szkoła Specjalistów Morskich w Ustce w specjalności – radiotelegrafista. Ukończyłem kolejne kursy i otrzymałem awans na stopień mata, zdobyłem też miano specjalisty pierwszej klasy. Wiązało się to z ekwiwalentem pieniężnym, przez co wzrósł mi żołd i pozycja wśród kolegów. Otrzymałem skierowanie na praktykę do floty wojennej, aby zdobyć doświadczenie. Najpierw

był krótki pobyt na okrętach podwodnych, a potem skierowano mnie na szkolny okręt Wyższej Szkoły Marynarki Wojennej „Zetempowiec". Był to statek handlowy „Opole", który został przebudowany na jednostkę wojenną, służącą elewom szkoły. Stała załoga w której byłem i ja, nie była związana bezpośrednio ze szkołą. Każdy z nas miał przydzielone swoje zadania, a w okresie pobytu elewów pomagaliśmy im w przyuczeniu do wykonywania konkretnych funkcji na okręcie. Było to zajęcie mało absorbujące i przyjemne.

Elewi przydzielani byli na okręt w poszczególnych specjalnościach. Byli między innymi artylerzyści, z którymi pływaliśmy odbywając ćwiczenia w strzelaniu, zarówno do obiektów (atrap) pływających, jak i do worków ciągniętych przez samoloty. Mieliśmy obowiązek utrzymywania łączności radiowej zarówno z okrętami ciągnącymi tarcze jak i z samolotami. Mile wspominam dalekie rejsy, między innymi do Archangielska. Nasz dowódca okrętu - rodowity Rosjanin - był wyjątkowo porządnym człowiekiem, lubianym przez marynarzy. Kochał muzykę i zawsze kiedy miałem wachtę przychodził do pomieszczenia radiostacji, żebym poszukał mu jakiejś muzyki poważnej. Kabina radia przylegała do mostka kapitańskiego, więc byłem zawsze

pod ręką. Nie zapomnę tego pierwszego rejsu, bo było to jesienią i na morzu wiało niemiłosiernie. Wiatr sprawdzał nasze organizmy na podatność kołysania naszego okrętu na fali. Atlantyk nie był raczej spokojny o tej porze roku, więc pływanie do najprzyjemniejszych nie należało. Ponieważ utrzymywała się taka fatalna pogoda przez kolejne dni rejsu, nie było chętnych do dokonania zmiany dyżurnego radiotelegrafisty (w tym przypadku dotyczyło to mnie). Szef „radio", starszy bosman, karmił mnie najpierw sucharami i cytryną, którą nie wiem skąd dostał, a ja jeździłem po całej kabinie i po kolei zwracałem każdy posiłek. Nie były to przyjemne momenty. Wytrzymałem jednak te „tortury" przez całe dwa dni. Jedyną pociechą była obserwacja naszego kapitana, który dyskretnie do chusteczki oddawał daninę bogom morza.

Po odbyciu rocznej praktyki zostałem ponownie skierowany do Szkoły Specjalistów Morskich, gdzie objąłem funkcję szefa gabinetu „radio" i dostałem awans na stopień bosmanmata. Po okresie trzech lat służby i próbach dowództwa zatrzymania mnie w wojsku na stałe oraz perypetiach związanych ze zwolnieniem, wreszcie opuściłem Marynarkę Wojenną.

Zostałem nawet awansowany na chorążego, a wszystko po to, abym wyraził zgodę na pozostanie w wojsku.

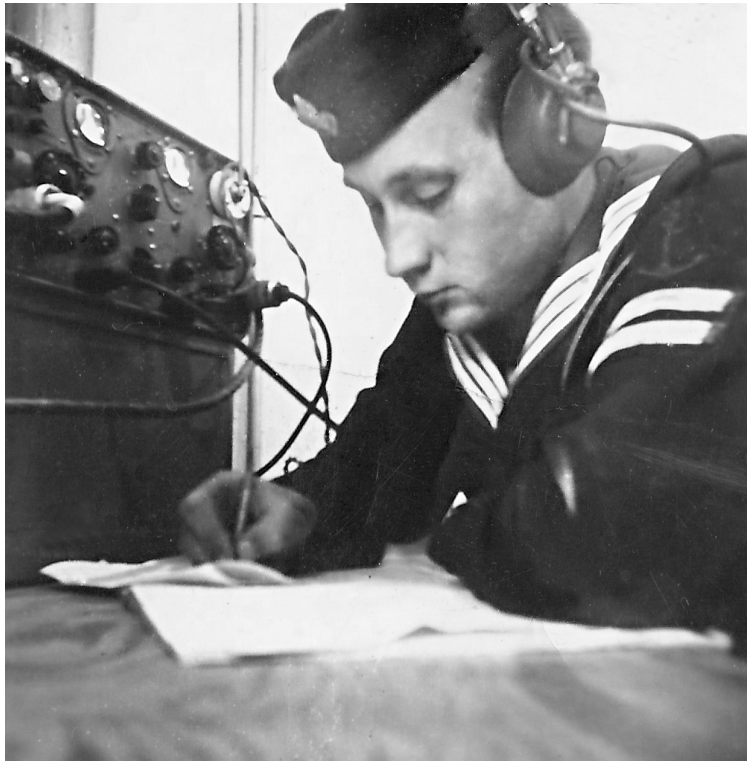

Przy radiostacji w Marynarce Wojennej

Już w cywilu

Po powrocie z wojska pierwsze kroki skierowałem do klubu krótkofalowców SP2KAE, w którym rozpocząłem działalność radioamatorską. Wróciłem do swojego zakładu pracy na poprzednio zajmowane stanowisko. Obejmowałem kolejne stopnie służbowe w wykonawstwie, począwszy od kierownika budowy, poprzez kierownika grupy robót, do stanowiska głównego inżyniera. W międzyczasie musiałem nadrobić luki w wykształceniu. Nie chciałem poprzestać na wykształceniu technika. Nie dawało to bowiem szans na poprawę egzystencji mojej rodziny. Wybrałem Politechnikę Szczecińską, gdzie znalazłem kierunek zgodny z moim zatrudnieniem. Podjąłem studia zaoczne. Nie stać mnie było na przerwanie pracy i naukę dzienną. Studia trwały pięć lat. Nie był to łatwy okres. Z 32 osób rozpoczynających naukę, na ostatnim roku było już nas tylko czterech, a do obrony pracy dyplomowej w pierwszym terminie dotarłem tylko ja. Po ukończeniu studiów poszło już łatwiej. W roku 1970 powołany zostałem na stanowisko zastępcy dyrektora naszego Przedsiębiorstwa Budownictwa Wodnego w

Bydgoszczy. Pod moim bezpośrednim nadzorem zrealizowaliśmy wiele dużych obiektów takich jak bulwary w Bydgoszczy, Toruniu i Włocławku, dwa duże Ośrodki Hodowli Pstrąga w Mylofie koło Chojnic i Lubiczu koło Torunia. Rozbudowywaliśmy też porty rzeczne w Toruniu, Krzyżu i Czarnkowie, a także zbudowaliśmy dużą przepompownię nad Wisłą w Starogrodzie oraz wiele mniejszych obiektów. W latach 1975-1980 nastąpił rozkwit przedsiębiorstwa. Zatrudnienie w tym okresie utrzymywało się w granicach 700 osób. Dysponowaliśmy dużym zapleczem sprzętowym i warsztatowym. Po skończeniu studiów uzyskałem uprawnienia do projektowania i kierowania budowami bez ograniczeń. W wolnych chwilach ukończyłem w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Bydgoszczy roczny kurs, dający mi uprawnienia pedagogiczne. Uzyskałem możliwość prowadzenia zajęć na rożnego rodzaju kursach, a także w szkołach zawodowych. Korzystając z tych uprawnień przez jedno półrocze pracowałem w Technikum Mechaniczno-Elektrycznym w Bydgoszczy jako nauczyciel zawodu. Działalność tę przerwała propozycja wyjazdu na kontrakt do Iraku.

Iracka przygoda

Szeherezada, Ali baba i 40 rozbójników, Sindbad Żeglarz i inne równie fascynujące opowieści o świecie arabskim zawarte w baśniach 1000 i jednej nocy, to wspomnienia lat dziecięcych i fascynacje orientalnymi opowieściami. Myśli o tym zagnieździły się w mojej głowie na długie lata.

W wieku już dojrzałym, czyli 40 +, marzenia moich młodzieńczych lat miały szanse spełnienia. Na początku 1980 roku otrzymałem propozycję wyjazdu do Iraku jako dyrektor budowy. Była ona w trakcie organizacji. Ze względu na zły stan zdrowia dotychczasowy jej szef poprosił o pilny wyjazd do kraju i przysłanie na jego miejsce osoby, która może go zastąpić. W wykazie kandydatów do wyjazdu, praktycznie tylko ja spełniałem wszystkie warunki. Miałem wymagane uprawnienia budowlane, zarówno do kierowania jak i projektowania. Nie miałem natomiast żadnego doświadczenia w pracy za granicą. Okazało się, że moje doświadczenia przy różnych większych budowach w kraju muszą wystarczyć.

Była to tak nieoczekiwana propozycja, że

musiałem poważnie się nad tym zastanowić. Dano mi tylko jeden dzień na podjęcie decyzji. Wyjazd musiał być szybki, a czasu na przygotowanie niezbędnych dokumentów zostało mało. Po konsultacji z rodziną podjąłem decyzję – jadę. Zdawałem sobie doskonale sprawę, że było to duże wyzwanie i wejście w świat nieznany, zupełnie mi obcy i daleki. Miałem już swoje lata, z niejednego pieca chleb jadłem i do strachliwych nie należałem. Trzeba siebie sprawdzić. Może to być jedyna okazja w życiu. Nie brałem wówczas pod uwagę profitów ekonomicznych, oraz nieznanego wcześniej życia z dala od domu i najbliższych, w kompletnie innych warunkach dalekiego, nieznanego kraju. Rzucone wyzwanie nie mogło być odrzucone przeze mnie w ówczesnych czasach i trudnej sytuacji ekonomicznej społeczeństwa. Była to jedyna szansa poprawy mojego dalszego życia oraz rodziny.

Podpisałem umowę na okres 1, 5 roku i wyczekiwałem na sygnał, kiedy nastąpi wyjazd. Wiedziałem, że ze względu na sytuację na budowie w Iraku, decyzja zostanie podjęta szybko. Zacząłem pakowanie i załatwianie niezbędnych formalności. Czekałem na wiadomość dotyczącą terminu wylotu z kraju.

Wyjechałem do Warszawy do Budimexu po

odbiór dokumentów, paszportu służbowego i przedwyjazdowych wytycznych. Po załatwieniu wszelkich formalności zatrzymałem się w zamówionym uprzednio hotelu, aby rano pojechać na lotnisko. Po nieprzespanej nocy, naładowany energią oczekiwania na przewidywane życiowe zmiany, spotkałem się na lotnisku z córką, która w tym czasie mieszkała w Warszawie i miała okazję pożegnać ojca przed wyjazdem.

Przez cały czas oczekiwania na odprawę podświadomie kłębiły mi się w głowie myśli, czy decyzja była słuszna i czy dam sobie radę na zajmowanym stanowisku w kompletnie odmiennych od krajowych warunkach? Decyzja już zapadła i o wycofaniu się nie było mowy. Trzeba było zaryzykować, a przy okazji sprawdzić samego siebie. Lot do Frankfurtu nad Menem trwał około 2 godzin.

Po przylocie powinienem mieć zaraz przesiadkę na samolot do Bagdadu, dokąd powinienem dotrzeć około godziny 20.00, a na lotnisku mieli czekać na mnie przedstawiciele budowy. Zapowiadało się wszystko dobrze, gorzej jednak było po zgłoszeniu się w przedstawicielstwie Lufthansy na lotnisku. Z widocznym zakłopotaniem na twarzy miła pani oświadczyła, że niestety przedstawiciele Lotu w Warszawie nie byli zorientowani w

rozkładach rejsów i wystawili mi nieprawidłowy bilet na lot, który nie mógł zostać zrealizowany. Rozkład lotów na ten kierunek od miesiąca uległ zmianie. Po takiej informacji musiałem mieć wyraźnie głupią minę, bo zaraz uspokojono mnie stwierdzeniem, że od chwili pobrania biletu w Lufthansie stałem się ich klientem, nad którym są zobowiązani rozwinąć parasol opiekuńczy. Na dowód tych słów dostałem bon o wartości 25 marek do wykorzystania w dowolnej restauracji bądź kawiarni na lotnisku, a co najważniejsze zabukowano mój bilet na najbliższy lot do Bagdadu na godzinę 22.30 tego samego dnia.

Przede mną kilkanaście godzin pobytu na lotnisku i pomimo niezłych warunków (w tym rozkładane fotele umożliwiające drzemkę), tak długie czekanie nie należało do najprzyjemniejszych. Po zwiedzeniu wielu sklepów, w godzinach popołudniowych żołądek dał znać o sobie i trzeba było coś zjeść. Pytanie tylko, na co wystarczy ten posiadany bon? Pozornie 25 marek to dość duża kwota, porównując ją z naszymi ówczesnymi krajowymi realiami i moimi zaskórniakami otrzymanymi na podróż w wysokości 35 dolarów. Szaleć nie będę. Po przeczytaniu karty dań włączyłem natychmiast w głowie kalkulator. Wystarczyło na

jakieś kiełbaski, barszczyk do popicia i kawę. Na piwo niestety już nie starczyło, bo o ile dobrze pamiętam ówczesna cena to 3, 25 marki. To już byłaby rozpusta….

Okazało się, że wystarczyło tego, aby nie paść z głodu, ale o najedzeniu nie było już mowy. Następny przewidywany posiłek miał nastąpić dopiero po wejściu do samolotu, a to było dopiero za parę godzin, które ciągnęły się jak przysłowiowe flaki z olejem. Daleka jednak jest droga do spełnienia młodzieńczych marzeń…

Nareszcie nastąpiła godzina odprawy, która przebiegła sprawnie i szybko. Zdziwiła mnie jedynie mała ilość pasażerów oczekująca na wejście do samolotu. Było nas około 15 osób, co na taki lot wydaje się wyjątkowo mało. Stewardesy rozsadziły nas w dużych od siebie odstępach dla równomiernego obciążenia samolotu, który normalnie zabiera około 350 pasażerów. Przez megafony poinformowano nas o warunkach lotu i również o tym, że z uwagi na małą ilość pasażerów podadzą nam najpierw posiłek i coś do picia, a potem zaproponują odpoczynek, ponieważ lot potrwa około 5 godzin. Przyniesiono koce i poduszeczki, ale sen nie przychodził. Pomimo godzin nocnych widoczność była na tyle dobra, że można było obserwować początkowo

Alpy, a później Morze Śródziemne i wybrzeże Afryki. Szkoda, że lot nie odbywał się w czasie dnia, byłoby znacznie więcej widać. Najbliższe lądowanie odbyło się w Damaszku, gdzie miała nastąpić wymiana załogi. Pasażerowie w tym czasie nie opuszczali samolotu. Tak też było i nastąpił dalszy lot już do Bagdadu gdzie powinni na mnie czekać koledzy.

Ana nad Eufratem

Już w Iraku

Przed lądowaniem podano nam przez megafony warunki pogodowe w Bagdadzie. Nie zabrzmiało to zbyt wiarogodnie. Godzina 4.25 czasu lokalnego rano, a temperatura na zewnątrz 40 stopni. Po otwarciu drzwi samolotu okazało się, że to prawda. Pierwsze wrażenie, to jakbym wchodził do piekarnika. Innej analogii wtedy nie potrafiłem określić. Było gorąco, bardzo gorąco, ale to chyba tylko dlatego, że to był lipiec. Po wejściu na salę odpraw odprężyłem się widząc kolegów machających do mnie z daleka. Czekał wśród nich Andrzej, którego dobrze znałem z różnych spotkań służbowych.

Następny krok to obowiązkowe spotkanie z celnikami. Panowie w mundurach zainteresowali się kolorowymi pismami, które zabrałem z samolotu. Szukali nagich pań. Jak się okazało, tego typu zdjęcia szczególnie ich interesowały i ulegały jednoczesnej konfiskacie. Ważnym momentem było wykreślenie przez nich kredą na walizce jakichś znaczków i można było spokojnie wychodzić. W ten sposób młodzieńcze marzenia stały się faktem, rozpoczęła się moja życiowa

przygoda na Bliskim Wschodzie.

Po bardzo sympatycznym przywitaniu z kolegami, którzy jak okazało się spędzili noc na lotnisku, załadowaliśmy moje bagaże do samochodu i ruszyliśmy w kierunku mojego nowego domu. Pierwsze wrażenia po wyjeździe na autostradę nie były zbyt ciekawe. Wzdłuż trasy przesuwały się obrazy brudnego brązowego piasku niepodobne do pustyni, jaką sobie wyobrażałem. Przed nami było blisko 120 km. Zmęczenie dawało o sobie znać. Głowa kiwała się, ale ciekawość nowego nie dawała zasnąć. Po wzajemnych opowieściach o ostatniej nocy i niespodziankach, jakie nas wspólnie spotkały, wzrok przesuwał się po mijanych samochodach z tablicami arabskimi, na których numery rejestracyjne pisane były dwoma alfabetami - arabskim i łacińskim. Poznanie cyfr w języku arabskim było w przyszłości na pierwszym miejscu tym bardziej, że nie było innych tłumaczonych napisów. Po drodze mijaliśmy kolejne miasteczka, a po prawie godzinnej jeździe dotarliśmy do celu.

Okazało się, że mieszkać będę w samym mieście, a na budowę trzeba będzie codziennie dojeżdżać około 4 kilometry. Dom był otoczony wysokim murem. Piętrowa willa na górze miała taras otoczony również murkiem. Architektura

niespotykana u nas była w tamtych warunkach pełna uroku. W pobliżu kuchni znajdował się podjazd, na którym zaparkowaliśmy samochód. Nie było zbyt dużo czasu na przyglądanie się i zwiedzanie domu. Każdy z nas myślał o możliwości choć krótkiego przyłożenia głowy do poduszki. Najpierw jednak trzeba było zjeść śniadanie. Dotychczasowy gospodarz domu Staszek (mój poprzednik) zrobił naprędce jajecznicę, która szybko zniknęła z talerzy. Popiłem to kawą - prawdziwą, a nie zbożową - co dla przybysza z Polski było wtedy nie lada rarytasem. Ustaliliśmy plan działania na najbliższe godziny i po ogłoszeniu dwugodzinnej przerwy na drzemkę, poszedłem spać. Andrzej pojechał na Kamp, gdzie mieszkała załoga, aby tam odpocząć po nieprzespanej nocy.

Lokalne przepisy i przyjęte zasady zalecały, aby szef budowy mieszkał poza Kampem. Trochę to dziwne. Jakoś raźniej byłoby zamieszkiwać razem z wszystkimi. Tak zadecydowano, wynajęto domy i zawarto umowy. Później okazało się, że ma to swoje dobre i złe strony. Dom położony był w pobliżu siedziby Gubernatora Prowincji Al Ambar. Natomiast po drugiej stronie wysokiego muru okalającego moją willę rezydował szef lokalnej policji.

Odpoczynek poranny nie za bardzo mi

wychodził. Byłem nieprzyzwyczajony do spania w hałasie. Trudno było zasnąć. Szum klimatyzatora był monotonny, ale nie usypiający. Poza tym upał był niemiłosierny. Do wszystkiego trzeba jednak było się przyzwyczaić.

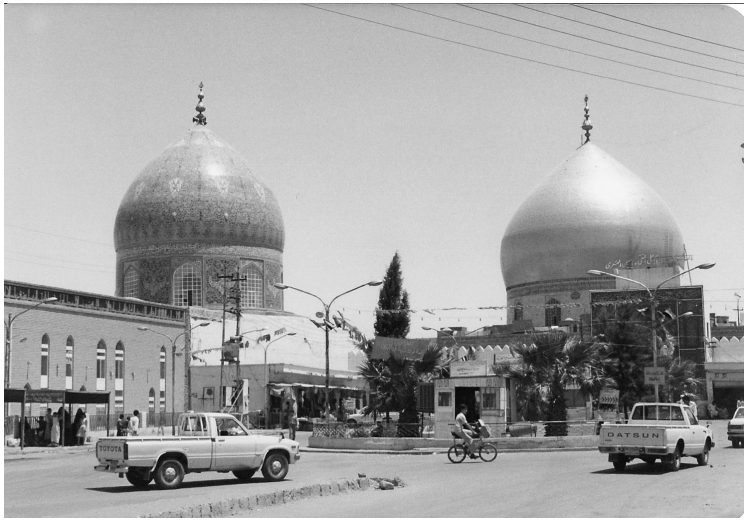

Kerbela

Dzień pierwszy

Po odpoczynku zdecydowaliśmy się ze Staszkiem (dotychczasowym dyrektorem budowy) na pierwszą moją wizytę na Kampie. Czas przejazdu z domu na Kamp szybko minął. Droga biegła początkowo po wale przeciwpowodziowym do mostu przez Eufrat. Zdziwiły mnie posterunki wojskowe przy wjeździe i wyjeździe z mostu, Staszek wyjaśnił, że są one w każdym ważniejszym miejscu. Przejeżdżając przy tego typu stanowiskach należy zwolnić i czekać na zezwolenie przejazdu sygnalizowane machnięciem ręki. Nie zatrzymanie się może spowodować natychmiastową reakcję. Najczęściej jest to ostrzelanie samochodu. To taka pierwsza lekcja zachowań w Iraku. Wiadomości te chłonąłem jako nowicjusz, bo miały okazać się bardzo przydatne w czasie mojego pobytu.

Kamp okazał się dużym ogrodzonym siatką terenem na skraju pustyni przy asfaltowej drodze. Zajmował kilka hektarów. Głównym miejscem zamieszkania załogi były baraki, w których znajdowały się jednoosobowe pokoiki. Dodatkowo dla całego baraku była jedna duża umywalnia, natryski i ubikacje. Nie był to

super komfort, ale wystarczające miejsce do wypoczynku po pracy. Każde pomieszczenie oczywiście miało zainstalowany klimatyzator, który w tych warunkach stanowił niezbędne wyposażenie. Była też lodówka. W każdym z tych baraków mieszkało około 20 osób. Osobne miejsca to pomieszczenia kuchni i dużej stołówki. W innym pawilonie znajdowała się biblioteka, mała świetlica i sklepik. W sumie wyglądało to na niezbyt zadbane miejsce, które trzeba będzie jakoś ciekawiej zagospodarować. To wszystko było jeszcze przede mną. Trudno wymagać przy rozruchu budowy, aby wszystko było dopięte na ostatni guzik. Do zwiedzenia pozostały dwie hale stanowiące zaplecze dla sprzętu, warsztatów remontowych i podręcznych magazynów. Ta cześć Kampu wyglądała imponująco i dobrze świadczyła o gospodarzu, któremu podlegała. Pozostał jeszcze do obejrzenia magazyn materiałów budowlanych i stacja paliw ze zbiornikami na benzynę i olej napędowy. Pierwsze wrażenia były pozytywne.

Wszystko razem wyglądało na spore przedsiębiorstwo będące w fazie rozruchu. Na skraju terenu postawiono kilka mniejszych domków potocznie zwanych „kuwejtami", w których zamieszkiwała wyższa kadra techniczna. Warunki w nich były zdecydowanie lepsze.

Przeważnie mieszkały w nich dwie osoby w dwóch pokoikach. Była mała kuchenka i łazienka. Do ukończenia na Kampie pozostała oczyszczalnia wody, której budowa też była już bardzo zaawansowana.

Barak biurowy był równie dobrze zagospodarowany. Pomieszczenia, w których miałem urzędować, to dwa pokoiki. W pierwszym umieszczono sekretarkę, a w następnym dyrektora budowy, czyli mnie. Duże biurko stało naprzeciw wejścia na tle flag polskiej i irackiej i portretu tam panującego - Saddama Husseina. Połączenie tego wizerunku z naszym polskim orłem było trochę szokujące, ale cóż, byliśmy u nich i musieliśmy przestrzegać ich zasad i przepisów. Do tego zobowiązywała mnie umowa zawarta na wykonanie tego zadania.

Czułem, że mam wyładowaną mózgownicę po same brzegi, a tu przede mną jeszcze planowane na popołudnie spotkanie z kadrą techniczną. Wszystko to działo się zdecydowanie za szybko, ale Staszek miał odlatywać już za trzy dni, więc czasu było mało. Trzeba było sporządzić protokoły przekazania budowy. Materiały były przygotowywane, ale przecież musiałem je wszystkie przeczytać, wyjaśnić jak coś okaże się nie zrozumiałe i w efekcie podpisać przejęcie

tego całego kramu na własną odpowiedzialność. Spotkanie z kadrą techniczną było bardzo sympatyczne. Okazało się, że wiele osób znam osobiście. To mnie podbudowało, bo jednak praca w gronie znajomych jest zdecydowanie lepsza i łatwiejsza. Wiadomo, na co każdego stać i jaki ma potencjał wiadomości zawodowych. Przyjęty zostałem przez nich sympatycznie i po koleżeńsku. Już w trakcie tego spotkania pomyślałem, że tego rodzaju spotkania każdego dnia po pracy są bardzo uciążliwe, bo ludzie są po prostu zbyt zmęczeni, a zdecydowana większość poruszanych spraw powinna być załatwiana na bieżąco. W swoim życiu zawodowym na różnych stanowiskach preferowałem raczej swoją działalność w terenie. Tu w innych warunkach pracy powinno to być również możliwe i potrzebne. Wiele innych przemyśleń i przyszłych zmian organizacyjnych już widziałem. Na razie jednak niech to pozostanie w mojej pamięci. Wprowadzanie tego typu innowacji w obecności poprzedniego szefa budowy nie byłoby właściwym pociągnięciem.

Na razie pozostało tak, jak dotąd. W późnych godzinach wieczornych wróciliśmy do domu. Miałem wreszcie trochę wolnego czasu na pogaduszki przy przygotowanej przez Staszka kolacji. Oczywiście wszystko to odbywało się

w kuchni, którą wreszcie dobrze obejrzałem. Jak wszystko w tym domu była przesadnie duża. Cała powierzchnia kuchni to około 30 metrów kwadratowych. Było miejsce do zmywania naczyń, kuchnia gazowa, olbrzymia lodówka, stół i krzesła. Ściany do sufitu obłożono kafelkami, co później okazało się być bardzo wygodnym, bo sprzątanie odbywało się zwykle wężem z wodą. Ale o tym później…. Przy kolacji, na której konsumowaliśmy zapasy z kraju i oczywiście zakrapialiśmy przywiezionym alkoholem, czas mijał szybko. Zmęczenie podróżą i całodziennymi zajęciami w pracy, zmusiło mnie do zmiany zarówno miejsca jak i pozycji ciała. Tak jak rano, tak i teraz poszedłem na górę gdzie Staszek w jednym pokoju przygotował mi miejsce do spania.

Zaśnięcie nie okazało się takie łatwe. Pomimo godzin późnowieczornych było mi zdecydowanie za ciepło. Zdolność chłodzenia klimatyzatorów wodnych nie była zbyt skuteczna. Trzeba będzie pomyśleć jak temu zaradzić, bo dobra klimatyzacja, to dobry wypoczynek i dobre samopoczucie.

Przejęcie budowy i kolejne niespodzianki

Nadszedł ostatni dzień pobytu Staszka. Rano podpisaliśmy przekazanie i przejęcie budowy. Udało się wszystko załatwić w ustalonym uprzednio czasie. Trzeba było dać mu trochę czasu na pożegnania i ostatnie pakowanie. Samolot odlatywał w nocy i trzeba było dostarczyć na lotnisko zarówno bagaż jak i jego samego. Ustaliliśmy, że kierowcą będzie Andrzej i w trójkę pojedziemy na lotnisko. W godzinach rannych czekała nas niespodzianka. Przyjechał policjant i przywiózł wezwanie do sądu dla dyrektora budowy. W jakiej sprawie? Nie było wiadomo. Nic nie wynikało z treści papieru, który czytaliśmy. Staszek też nie wiedział o co może chodzić. Myślałem, że uda się go namówić do udziału w tym posiedzeniu, ale stwierdził, że jednak ja jestem już szefem i powinienem tam pojechać. Wezwanie było na godzinę 12.00. Trzeba było się przygotować do tego spotkania, wziąć z sobą tłumaczy zarówno angielskiego jak i arabskiego. Pojechała ze mną Ewa - sekretarka i tłumacz języka angielskiego oraz Jamal zatrudniony na budowie jako tłumacz

języka arabskiego.

Rozprawa rozpoczęła się punktualnie. Prowadził ją sędzia arabski w obecności dwóch ławników. W zasadzie zadał tylko jedno pytanie, ilu zatrudniam pracowników arabskich i czy mają skierowanie z urzędu zatrudnienia? Sprawy te były zawarte w protokóle, który przed kilku godzinami podpisywałem, byłem więc gotowy do odpowiedź. Zatrudniałem 52 pracowników arabskich zgodnie z ustaleniami przy zawarciu umowy na wykonanie kontraktu, ale w sprawach skierowań nic na ten temat nie wiedziałem, a jednocześnie informowałem, że dziś rano przejąłem obowiązki szefa budowy. Na taką moją odpowiedź usłyszałem kolejne pytanie. - Czy w Polsce takie skierowania są wymagane? Oczywiście potwierdziłem ten fakt. To wystarczyło, aby rozprawę zakończyć. Usłyszałem wyrok, który obciążał kierownictwo budowy karą pieniężną po 50 dinarów za pracownika nie posiadającego takiego skierowania . W sumie dało to kwotę 2600 dinarów czyli około 10 tysięcy dolarów amerykańskich, którą to kwotę należy wpłacić w kasie sądu. Od takiego wyroku nie było odwołania, bo takie były irackie przepisy, o których nie poinformowano przy zawieraniu kontraktu. Zgodnie z zasadą, że nieznajomość

prawa nie jest wytłumaczeniem, przyjąłem treść wyroku oświadczając, że w dniu dzisiejszym wpłacimy tę kwotę. Natychmiast usłyszałem od sędziego, że należy zrobić to natychmiast, bo w przeciwnym razie zostaniemy aresztowani i odprowadzeni do aresztu.

Byłem zaskoczony. Nie poinformowano mnie wcześniej o temacie rozprawy i nie posiadałem tak dużej kwoty pieniędzy przy sobie. Wszystkie te argumenty przedstawiłem sądowi tłumacząc jednocześnie, że to moje początki współpracy na tym terenie, co powinno być wzięte pod uwagę. Po długim zastanawianiu się i uzgadnianiu stanowiska, wyjątkowo - jak to określił sędzia - zgodził się na zwolnienie mnie w celu przywiezienia pieniędzy, ale jako „zakładnicy" zostają zatrzymani moi tłumacze. To było kolejne irackie doświadczenie i nauczka na przyszłość. Dzięki temu uniknąłem w pierwszych dniach pobytu możliwości zapoznania się z irackim aresztem. Jak okazało się w przyszłości, nie było to miejsce luksusowe. W Iraku można wszystkiego się spodziewać. Trochę się dziwiłem, że po kilkunastu latach obecności polskich ekip budowlanych, nikt jakoś nie pokusił się o wydanie skrótu przepisów lokalnych oraz doświadczeń polskich kierownictw ze sposobu załatwiania różnych spraw, jak również swoich

doświadczeń z pobytu w tym kraju i różnego rodzaju niespodziewanych zdarzeń. Byłby to nieoceniony materiał dla wszystkich nowicjuszy na tym rynku. Pracuje się tu i żyje całkowicie w ciemno. Nie ma wskazówek również jak zachowywać się w stosunku do władz lokalnych, a doświadczenia późniejsze potwierdziły, że dobra współpraca i wzajemne poszanowanie pozwalają tu żyć w większym spokoju. W sprawie współpracy z władzami lokalnymi usłyszałem w ostatniej chwili, że każdy nowo obejmujący stanowisko, powinien zaanonsować swój przyjazd i nawiązać kontakt z lokalnymi władzami. Uznałem, że od uprzejmości jeszcze nikomu nic nie ubyło. Wysłałem więc przedstawicieli budowy zarówno do gubernatora, jak i lokalnego przedstawiciela nacjonalistyczno-socjalistycznej Partii BASS, która rządziła w Iraku, w celu ustalenia terminu wizyty.

Obie wizyty były bardzo pouczające i pozwoliły mi na nawiązanie pierwszych kontaktów. Znałem zarówno z opowiadań, jak i informatorów turystycznych kupionych w Polsce, sytuację polityczną i gospodarczą kraju, w którym będę żył przez najbliższe miesiące.

Wizyta u gubernatora

Na wizytę u gubernatora wybrałem się w towarzystwie tłumaczy. Już samo wejście na teren budynku stanowiło niemałe przeżycie. Trzeba było pokonać kolejne posterunki policji, bądź wojska, bo trudno było rozpoznać z mundurów, kogo reprezentowali. W rękach zwykle mieli takie same automaty, chyba pochodzące z naszego Radomia. Dotarłem wreszcie do sekretariatu, a następnie do drzwi gubernatora, przy których stali kolejni mundurowi. Po zaanonsowaniu naszego przybycia wreszcie dostaliśmy się przed jego oblicze. Przedstawiłem powód naszego przybycia, a po wysłuchaniu mojego wywodu gubernator przeprosił nas, że nie może nas niczym poczęstować z uwagi na okres Ramadanu (islamski post trwający 30 dni). Niemniej za chwilę przyszedł policjant, który w rękach trzymał karafkę z wątpliwej czystości wodą i butelkę koncentratu soku pomarańczowego. Przed każdym z nas postawił dużą szklankę, którą napełnił do połowy syropem, dolał wodę i jeszcze dosypał po łyżce cukru. Podświadomie pomyślałem, że wypicie tego napoju jest raczej niemożliwe. Trudno byłoby to przełknąć, ze

względu na czystość wody i ameby, przed którą przestrzegano mnie w kraju. Niestety okazało się, jak podpowiedział mi tłumacz arabski, że nie wypicie tego napoju byłoby obrazą gospodarza. Ponieważ temat rozmów wyczerpał się, sięgnąłem po szklankę i z uśmiechem na ustach wypiłem dziękując za poświęcenie nam czasu.

Okazało się później, że wizyta ta została dobrze przyjęta. Pozostało jeszcze jedno spotkanie u przedstawiciela rządzącej partii BASS. Przebiegło szybko, ponieważ umundurowany sekretarz partii oświadczył, że jeżeli wystąpią jakieś problemy, z którymi nie będzie można sobie poradzić to oczywiście on sprawę rozpatrzy i postara się mnie w ramach możliwości powiadomić o wynikach. Siedziba partii, tak jak inne ważne miejsca, obstawiona była umundurowanymi postaciami. Z wyglądu przypominali oni najemników. Oczywiście wszyscy uzbrojeni byli po zęby, a na biurku sekretarza, u którego byliśmy, poczesne miejsce zajmował automat AK2.To wszystko potwierdziło opowieści o tym, że Irak to państwo policyjne. Do tego wszystkiego trzeba było się przyzwyczaić.

Kraj w dorzeczu Eufratu i Tygrysu

Przed przyjazdem tutaj starałem się przeczytać jak najwięcej o kraju, w którym miałem spędzić prawdopodobnie 1,5 roku, bo na taki okres podpisałem umowę. Oczywiście wszelkie dane, które podaję tutaj były aktualne w latach 80-tych ubiegłego wieku.

Irak to kraj na Bliskim Wschodzie położony pomiędzy Syrią, Turcją, Iranem i z południa graniczący z zatoką Perską, Kuwejtem, Arabią Saudyjską i Jordanią. Ze względu na położenie i otoczenie kraju łańcuchami górskimi z zachodu, północy i wschodu, jest krajem o specyficznym klimacie suchym i gorącym, nawiewającym gorące powietrze z południa. Sprzyja to popularnym nazywaniem Iraku –patelnią Bliskiego Wschodu. Potwierdza to utrzymywanie się temperatur powyżej 50 stopni w cieniu, przez okres około 4 miesięcy w roku przy bardzo niskiej wilgotności powietrza określanej na 12%. W pozostałych miesiącach roku najzimniejszym okresem jest zima (m-ce grudzień, styczeń, luty), gdzie temperatura nocą wynosi 2-5 stopni. W okresie dnia na skutek minimalnego zachmurzenia przy

silnym nasłonecznieniu wzrasta powyżej 18-20 stopni Celsjusza. Opady deszczu w minimalnej ilości występują jedynie w okresie zimy. Praktycznie życie ludzi skupione jest w pobliżu przepływających dwóch dużych rzek Eufrat i Tygrys, które w dolnym biegu łączą się w Shatt El Arab przebiegając w swym dolnym biegu wzdłuż granicy z Iranem. Przepływają również przez miasto Basra i wpływają do Zatoki Perskiej zwanej w Iraku Zatoką Arabską. Wzdłuż tych rzek usytuowane są wszystkie większe miasta Iraku tworząc zielony obszar Mezopotamii. W miejscu połączenia rzek powstała ogromna delta zamieszkała przez tzw. Arabów Błotnych żyjących na pływających wyspach, dla których podbudową jest trzcina papirusu układana w kolejnych warstwach przesypywanych dowożoną ziemią. Na wyspach tych postawione są domy z elementów wyplatanych z trzciny. Stanowią one kunszt lokalnych rzemieślników. Poszczególne wysepki z czasem łącza się ze sobą, łącząc tym samym poszczególne rodziny. Oczywiście cały ruch oparty jest na łodziach, którymi dowozi się zarówno materiały dla kolejnych domów jak i całe zaopatrzenie żywnościowe. Pływające bawoły dodają szczególnego uroku temu miejscu. Transport lądowy oparty jest na drogach

położonych na uprzednio budowanych groblach. Całość tej olbrzymiej delty w planach obecnego rządu ma zostać osuszona poprzez ogromny zakres robot melioracyjnych i odwodnień. Jest to olbrzymi zakres prac, ale też nie do końca przemyślana ingerencja w istniejący specyficzny klimat mający również wpływ na pozostały teren powierzchni Iraku. Przyczyną takiej decyzji, jak sądzę, było to, że na tych obszarach ukrywało się wielu dezerterów z armii i policji, a pacyfikacja wysp ze względu na warunki, praktycznie nie byłaby możliwa. Zobaczymy, co przyniosą kolejne lata. Urokliwość tego miejsca pozostanie na zawsze w mojej pamięci i na zrobionych tu zdjęciach. Jest to coś niepowtarzalnego. Nie ma podobnego miejsca w innych regionach świata.

Obszar całego Iraku podzielony jest na 18 prowincji, z których największa jest prowincja AL AMBAR ze stolicą w Ar Ramadi o powierzchni 138,131tys.km2. Przyszło mi tu mieszkać. Wielkość tej prowincji stanowi w głównej mierze Pustynia Syryjska stanowiąca jednocześnie granicę z Arabią Saudyjską, Jordanią i Syrią. Jedyną rzeką jest Eufrat stanowiący jednocześnie źródło wody dla przylegającego terenu. Z Eufratu czerpana jest woda dla nawadniania przybrzeżnych terenów. Umożliwia

to prowadzenia gospodarki rolnej. Na Eufracie zachował się jeszcze system nawodnień poprzez koła wodne napędzane biegiem rzeki. Na kołach tych umieszczone są pojemniki nabierające wodę, a następnie opróżniające się do zbudowanych przy brzegu akweduktów. Zarówno stan techniczny kół jak i akweduktów jest bardzo zły, ale jednak działający i pochodzący w swych konstrukcjach z czasów dawnej Mezopotamii. Z uwagi na brak lokalnego drewna koła skonstruowane są z gałęzi niewiadomego pochodzenia. Jedyne rosnące tutaj drzewa to palmy daktylowe, których pnie nie nadają się, do jakichkolwiek konstrukcji. Osiągają wysokość ponad 30 metrów, ale średnia utrzymuje się w granicach 20 m. Uprawiane są głównie w południowej części Iraku, a ich owoce daktyle stanowią interesujący produkt eksportowy. Mniejsze gaje palmowe i pojedyncze palmy spotyka się na terenach wzdłuż rzek Eufrat i Tygrys. W Iraku zaludnienie jest stosunkowo małe. Wynosiło ono w 1980r. 13,8 mln. osób na powierzchni kraju nieco większego od Polski. Jednostką monetarna jest dinar dzielący się na 1000 filsów. Wartość 1 dinara odpowiadała w ówczesnym okresie 3,4 dolara amerykańskiego.

Myślę, że tych parę liczb pozwoli na orientację o tym kraju i pozwoli lepiej zrozumieć wszelkie

opisywane zjawiska. Językiem oficjalnym jest oczywiście język arabski, ale w kontaktach służbowych używa się języka angielskiego, którym można porozumieć się z większością ludności. Sądzę , że jest to pozostałość długiego okresu dominacji brytyjskiej na tym terenie. Wpływy brytyjskie pozostały również w okresie drugiej wojny światowej. Efektem jest obowiązujący tu do dzisiaj język angielski jako drugi język urzędowy. Nauka tego języka w szkołach daje możliwość porozumiewania się z każdym, w prawie każdej sytuacji. Wszystkie pisma urzędowe kierowane z budowy musiały być redagowane w tych dwóch językach, dlatego też konieczna była obecność i zatrudnienie tłumacza z języka angielskiego na arabski i odwrotnie. Pisma redagowane w języku angielskim były pisane na maszynie, zaś przekładane na arabski - pisane odręcznie przez tłumacza arabskiego.

Moje irackie siedlisko

Willa, w której zamieszkałem miała być moim domem przez półtora roku, a jak się później okazało była moim mieszkaniem przez trzy lata. Dom był ogrodzony murem o wysokości 1, 8 m ze stalową dwuskrzydłową bramą wjazdową. Właścicielem budynku był iracki adwokat, który przeznaczył dom pod wynajem. Trzeba też podkreślić, że wokół były podobne domy jednorodzinne zamieszkałe przez tzw. klasę średnią. Trzeba pamiętać o tym, że obowiązywała tu zasada możliwości wstępu na posesję, dopiero po osobistym zaproszeniu przez gospodarza. Kojarzy się to z angielskim powiedzeniem „my Home is my Castel" (mój dom jest moją twierdzą). Zauważyłem że zasada ta była ściśle przestrzegana.

Parter domu zajmowała duża kuchnia. Na piętrze były pokoje, z czego dwa to sypialnie i salonik telewizyjny. Była też duża sala do organizacji przyjęć i spotkań, a oprócz tego duża łazienka, ubikacja i dwa odrębne pomieszczenia gospodarcze. Z obszernego holu prowadziły schody na piętro z dużym tarasem. Stąd można było wejść na górny taras nad całym piętrem. W sumie powierzchnia tego domku to rząd

wielkości 250– 300 m kwadratowych powierzchni użytkowej. Na dole z dwóch stron domu był pas ziemi, na którym urządziłem sobie mini ogródek, gdzie posadziłem kwiaty. Przy murze rosły krzewy pomarańczy. W późniejszym okresie kwitły tam też słoneczniki zasiane z nasion przywiezionych z Polski. Ze względu na duże nasłonecznienie i częste podlewanie, wszystko rosło w zastraszająco szybkim tempie. Opieka nad tym ogródkiem i całym obejściem należała do zatrudnionego arabskiego ogrodnika narodowości egipskiej. Na początku naszej znajomości wykazał się on wyjątkową starannością, ponieważ na polecenie wykoszenia trawy i wypielenia wokół posadzonych krzewów pomarańczy i rabatów kwiatowych - tak dokładnie to zrobił , że po przyjeździe z pracy zobaczyłem wypielone rabaty z chwastów, ale również z sadzonek kwiatów, które posądziłem parę dni wcześniej. Co było z takim człowiekiem robić? Kupiłem nowe sadzonki i kazałem je posadzić wskazując mu miejsca i polecając objęcie ich super ochroną, z codziennym podlewaniem. Tym razem nauka nie poszła w las. Drugie zajęcie ogrodnika, które wykonywał, to opróżnianie specjalnego pojemnika na śmieci gospodarcze (papiery, torby plastikowe itp.).

Po pewnym okresie zaciekawiło mnie, co

się dzieje ze śmieciami i gdzie były wywożone. Okazało się, że każdego ranka wyrzucał je po prostu za mur od strony ulicy, a przechodzące rano stada osłów wszystko to dokumentnie zjadały łącznie z torbami plastikowymi, pełniąc rolę służby oczyszczania miasta. Ponieważ wszyscy w pobliżu też w taki sposób pozbywali się śmieci, nie miałem podstawy do interwencji.

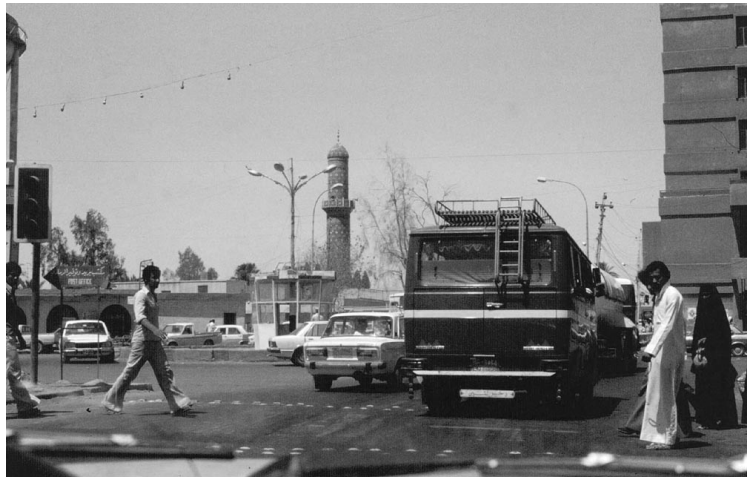

Wcentrum Ramadi

Dzień, jak co dzień

Czas leciał mi nadspodziewanie szybko. Wciągnąłem się w życie budowy, zacząłem wprowadzać swoje porządki i zmiany tego, co zauważyłem w pierwszych dniach pobytu i z czym nie do końca się zgadzałem. Wsłuchiwałem się w opinie ludzi, co należałoby usprawnić, aby życie z dala od bliskich było łatwiejsze do zniesienia. Z każdym następnym tygodniem przybywało pracowników. Moje zamówienia na ludzi i sprzęt były realizowane nadzwyczaj sprawnie. Niepokoje w Polsce, jakie zaczęły się przed moim wyjazdem, dotarły i do nas. Wśród przyjeżdżających ludzi pojawili się byli działacze związkowi, w tym również działacze Solidarności. Ciekaw byłem jak uda się im przystosować do warunków pracy za granicą, tak bardzo odmiennych od warunków pracy w Polsce. Starałem się unikać wszelkich zadrażnień i traktować ich na równi z pozostałymi. Na temat tego, co dzieje się w Polsce dochodziły do nas różne informacje, często sprzeczne ze sobą. Słuchanie informacji radiowych z Warszawy było możliwe jedynie w godzinach późnowieczornych i to przy nie najlepszej słyszalności. Trudności występowały

również dlatego, że w Iraku zabroniona była sprzedaż radioodbiorników z zakresami fal długich. Nie bardzo wiem jak to wytłumaczyć. Podobno fale długie wykorzystywane były przez wojsko, ale to nie były sprawdzone informacje. Trzeba było pomyśleć o ewentualnym zakupie jakiegoś przyzwoitego radia w Kuwejcie albo w Syrii, chociaż mogły wystąpić trudności z przywiezieniem tego sprzętu do Iraku.

Dostawa polskiej prasy też nie była systematyczna, a tytuły wyraźnie ograniczone. Kolejni pracownicy przybyli do Bagdadu przywieźli też listy od rodzin. To najprzyjemniejsza chwila dla załogi. Każdy czekał na wiadomości od rodziny, czy przyjaciół. Dostałem informacje, że w przyszłym tygodniu mieli przyjechać przedstawiciele Budimexu i naszego Zjednoczenia w sprawie ustalenia zasad finansowania budowy, rozliczeń i obowiązujących sprawozdań, czyli czegoś, czego nigdy nie lubiłem. Trzeba było przygotować się do przyjęcia gości. Oczywiście zamieszkali u mnie, bo na Kampie nie dysponowaliśmy żadnymi pokojami gościnnymi.

Mieliśmy już prawie pełne zatrudnienie, czyli około 250 osób. To już duża grupa ludzi, których trzeba było zakwaterować, wyżywić i co najważniejsze skierować do pracy w zależności

od wykształcenia i doświadczenia zawodowego. Fronty robót były duże, tak więc z pracą dla każdego nie było problemu. Główne prace w początkowym okresie skupiały się na robotach ziemnych, drenarskich i przygotowywaniu prefabrykatów. Sprzętu była wystarczająca ilość, a warsztaty przygotowane były do natychmiastowej interwencji w razie jego awarii. Główne skrzypce grały duże zgarniarki marki Caterpillar, które posyłane były na pierwszy ogień. Później wchodziły do akcji zgarniarki radzieckie znacznie mniejsze i słabsze. Wszystko to odbywało się przy współpracy ze spycharkami. Jak z tego widać budowa potrzebowała przede wszystkim doświadczonych operatorów każdego rodzaju sprzętu. Trzeba wziąć też pod uwagę , że nawet najlepsi operatorzy musieli zapoznać się z nowym sprzętem, nie używanym w kraju. Były to wysoko wydajne maszyny produkcji amerykańskiej i japońskiej sterowane laserem. Pracowników fizycznych do prac ręcznych było zdecydowanie mniej i współdziałali z maszynami do drenowania. Wykonywali wszelkie prace pomocnicze, w tym zakładanie wylotów drenarskich. Oczekiwaliśmy na dostawę sprzętu do budowy kanałów marki Rakho, który został zakupiony w Stanach przez naszą delegację, na

czele której stał dyrektor Leon Piasecki. Wraz z towarzyszącymi osobami ze Zjednoczenia zginęli wszyscy w wypadku lotniczym w Warszawie w 1980 roku w czasie powrotu do kraju. Podczas podchodzenia do lądowania rozbił się samolot LOT-u. Dokładnie ten fakt pamiętam. Byłem na pogrzebie Leona, którego znałem od 1958 roku, kiedy przyszedł do nas do pracy po studiach. Od tamtego czasu aż do chwili Jego nagłej śmierci utrzymywaliśmy przyjacielskie stosunki. Właśnie dzięki Niemu byłem na kontrakcie w Iraku. Sprzęt miał przypłynąć lada dzień. Był skierowany do portu Basra nad Zatoką Perską i ze względu na swoje gabaryty przewożony statkiem.

Z pracownikami na budowie

Budowa

W tym miejscu warto przybliżyć fakty dotyczące zakresu prac, które prowadziliśmy w Iraku. Nie będę podawał wielu danych cyfrowych, bo wydają się one niepotrzebne. Muszę jednak najważniejsze z nich wymienić, aby przybliżyć ten temat . Budowa nasza została powołana na podstawie zawartego kontraktu pomiędzy Ministerstwem Irygacji Republiki Iraku a stroną polską reprezentowaną przez Centralę Handlu Zagranicznego Budownictwa BUDIMEX. Wyznaczył on na Generalnego Wykonawcę Zjednoczenie Budownictwa Wodnego i Melioracji w Toruniu. Całkowita powierzchnia terenu objęta kontraktem wynosiła 40.000 dunamów , czyli około 100 km kwadratowych . Wartość robót do wykonania zamykała się kwotą 18 milionów dolarów amerykańskich. Obiekt oznaczony symbolem MD4 zlokalizowany był przy prawym brzegu rzeki Eufrat. Był to kolejny kontrakt tego typu, ale największy zarówno pod względem finansowym jak i zakresu robót. Ze względu na dobrą jakość i terminowość wykonywanych prac, kolejne kontrakty były chętnie zawierane przez

rząd iracki z polskimi wykonawcami.

Lokalizacja kontraktów irygacyjnych położona była w dolinach rzek Tygrysu i Eufratu. Zwykle znajdowały się one na polach o nadmiernie zasolonych gruntach, nie nadających się do żadnych upraw rolnych. Istotą prowadzonych prac było takie przygotowanie gruntów, aby można było prowadzić normalną gospodarkę rolną. Te tereny miały być przekazane farmerom do zagospodarowania. Kolejność wykonywaniu robót rozpoczynała się od wykopania głębokich rowów do odprowadzania wody z terenów kontraktu. Pochodziła ona w początkowym okresie z płukania gruntu dla zmniejszenia zasolenia. Po wykopaniu tych rowów wykonywano głębokie drenowanie terenu wraz z montażem budowli towarzyszących. Po zakończeniu fazy przygotowawczej w następnej kolejności przystępowano do niwelacji przy pomocy spycharek i zgarniarek. Jednocześnie przygotowywano teren pod budowę nasypów w których posadowione miały być kanały doprowadzające wodę dla potrzeb całego kontraktu. Na nasypach rozpoczynał pracę zestaw maszyn Rakho. Pierwszy zestaw maszyn wycinał profile kanałów odprowadzając ziemię z wykopu przenośnikami taśmowymi na przylegający teren. Po tak przygotowanym wykopie kolejny zestaw

maszyn układał na całym profilu wykładzinę betonową grubości od 5 do 10 cm o wysokiej wytrzymałości.

Nie są tu ważne szczegóły technologiczne kolejnych operacji. Powiem tylko, że po wybudowaniu różnego rodzaju budowli piętrzących i rozdzielających wodę służącą do nawodnienia terenów z uprawami rolnymi woda do nich miała być dostarczana z Eufratu i Tygrysu. Woda pobierana z rzeki przepompowana była systemem budowanych dużych przepompowni. Był to klasyczny model robót dla każdego tego typu kontraktu. Prace prowadzone były w układzie trójzmianowym, przy czym najgorsze i najbardziej uciążliwe dla organizmu człowieka były godziny południowe, a najprzyjemniejsze godziny nocne.

W czasie dnia było bardzo duże nasłonecznienie i całkowity brak cienia. Ciągłe słońce i temperatury przekraczające 70 stopni, nie były dla organizmu obojętne. Przeprowadzane przed wyjazdem badania pod kątem pracy w tropiku eliminowały ludzi, u których stwierdzono choroby układu krążenia i nerek. Praca w tych warunkach eliminowała osoby ukrywające te dolegliwości. W efekcie kończyło się to koniecznością przerwania kontraktu i powrotem do kraju. Na

szczęście takich przypadków było bardzo mało. Takie warunki były sprawdzianem dla organizmu. Operatorzy w czasie zmian dziennych polewali systematycznie maszyny wodą dostarczaną na budowę w beczkowozach, a brygady pracujące w terenie przy innych robotach mogły jedynie chłodzić się pijąc obficie wodę z termosów. Obowiązywała zasada, że każdy z pracowników zabierał na zmianę 5 litrowy termos napełniany w czasie śniadania wodą z sokiem, herbatą miętową i kostkami lodu. Zwykle to wystarczało dla podtrzymania prawidłowego nawodnienia organizmu.

Patrząc z perspektywy lat, nie była to lekka praca, opłacana jednak znacznie lepiej niż w kraju. Była ona wypełniona wyrzeczeniami osobistymi. Z upływem miesięcy poznawałem poszczególnych ludzi, w tym również ich sprawy osobiste. Zawsze starałem się być wśród nich, nie dając im odczuć jakiejś wyższości z mojej strony. Zaczęto więc do mnie przychodzić ze sprawami bardzo osobistymi, traktując czasami jak spowiednika i powiernika. Wszystkie tego rodzaju sprawy zawsze pozostawały miedzy nami. Nikomu ich nie zdradzałem.

Zaczęliśmy myśleć o tym, aby na terenie Kampu przygotować boisko piłkarskie i

rozbudować korty tenisowe, a przy okazji tych zmian trochę ubarwić teren zielenią. Zasadzono wzdłuż dróg między barakami krzewy oleandra, który w tych warunkach bardzo dobrze się przyjmował. Wymagał jednak systematycznej opieki, w tym codziennego podlewania. Ludzie zobaczyli, że wszystkie te zmiany były praktycznie dla nich. Zaczęli więc myśleć o właściwej opiece nad zielenią. Było zdecydowanie ładniej i przyjemniej. Coraz mniej osób siedziało przed barakami, patrząc w dal i tęskniąc za domem. Były to momenty, kiedy trzeba było do nich podejść i nawiązać kontakt rozmawiając na różne tematy, aby skierować myśli w innym kierunku. Myślę, że było to przez załogę doceniane.

Caterpillar

Wojna

Okres napięć politycznych pomiędzy Irakiem a Iranem dał się zauważyć szczególnie w trakcie codziennych telewizyjnych wiadomości. Coś szykowało się po długim okresie napięcia między oboma krajami. Rano 23 września 1980 roku o godzinie 5.50 obudziły nas silne wybuchy. Nie wiedzieliśmy co to było. Dopiero po przyjeździe na Kamp, zauważyłem grupki ludzi wpatrujących się w niebo, na którym widoczne były smugi kompensacyjne samolotów i obłoki wybuchów. Od arabskich dozorców dowiedzieliśmy się, że rozpoczęła się wojna z Iranem. Po chwili dochodziły do nas też wiadomości o zablokowaniu przez wojsko przejazdu przez zaporę zamykającą przejazd przez Eufrat, do Ramadi. Te wszystkie informacje zaniepokoiły nas. Jak to będzie się rozwijać? Jakie będą dalsze nasze losy?

Dowiedzieliśmy się, że ogłoszono mobilizację rocznika 1957. Informacji było coraz więcej, niektóre ze sobą sprzeczne. Koniecznie musiałem dowiedzieć się prawdy, aby uspokoić zarówno siebie jak i ludzi. W międzyczasie wrócił nasz mikrobus z lotniska, który miał odebrać osoby przybywające na kontrakt z kraju. Samolot nie

wylądował, ponieważ lotnisko w Bagdadzie było również bombardowane w pierwszych godzinach wojny. Oglądany przez nas widok na niebie to ślady ataku irańskich samolotów na lotnisko wojskowe w Faluji i wystrzeliwane rakiety ziemia – powietrze przez obronę lotniska.

Ataki lotnicze zaniepokoiły mnie, przypomniały mi się naloty niemieckich samolotów w 1939 roku na Polskę, a sama wojna z perspektywy tamtych lat uruchamiała wyobraźnię. Zadawałem sobie pytanie - jaki może być dalszy rozwój sytuacji? Jakie będą decyzje naszych władz? Co wyobrażają sobie nasze rodziny słuchając relacji z Iraku i Iranu? Musiałem jakoś przedostać się do domu w Ramadi, zabrać najpotrzebniejsze rzeczy i przenieść się na Kamp. W takiej sytuacji powinniśmy być wszyscy razem. Najbardziej spanikowani byli moi goście – księgowi, którzy mieli pojutrze wracać do domu, a tu nie było żadnej możliwości wyjazdu. Podobny problem miałem z trzema żonami , które były w odwiedzinach u naszych pracowników. Żądały natychmiastowego wyjazdu i dostarczenia do najbliższego portu lotniczego. Jakoś trudno tym ludziom było wytłumaczyć, że człowiek nie jest cudotwórcą i nie ma możliwości załatwienia tych spraw „od ręki”. Byłbym chyba najszczęśliwszym

człowiekiem, gdyby te osoby były poza granicami Iraku. Zapowiadało się niestety, że nie będzie to takie proste. Po wielokrotnych wyjazdach do Bagdadu wreszcie udało się dwójce księgowych załatwić prywatnie przejazd irackim autobusem do Damaszku. Można więc było uznać ten problem za rozwiązany. Temat kobiet konsultowałem z Biurem Radcy Handlowego w Bagdadzie i naszą ambasadą. Efekt rozmów praktycznie był żaden. Ambasada wysłała do wszystkich polskich budów polecenia przygotowania planów ewakuacji załogi. Plany takie mieliśmy już opracowane, tylko brak było decyzji, kiedy ma to nastąpić. Sytuację komplikował fakt niekontrolowanej ucieczki ludzi z kilku budów, bez żadnej reakcji ze strony kierownictw. Dotyczyło to szczególnie budów położonych bliżej granicy z Iranem i w pobliżu granicy z Kuwejtem. W tych pierwszych dniach wojny ilość pracowników zmniejszyła się o około 8 tysięcy osób. W efekcie tego pozostało nas w Iraku około 2 tysiące pracowników polskich zatrudnionych na budowach.

Okazało się, że nasze szefostwo nie umiało wytłumaczyć załogom aktualnej sytuacji konfliktu iracko-irańskiego i sytuacji, w jakiej znalazły się budowy polskie na terytorium objętym wojną. Odprawy w ambasadzie też na niewiele się

przydały, jeżeli kierownictwa budów wcześniej wpadały w panikę, niż ich załogi. Nasza budowa była stawiana za przykład spokoju i opanowania po kilkakrotnym sprawdzaniu na miejscu tego faktu przez przedstawicieli Biura Radcy Handlowego i ambasady. Nie wszyscy chcieli uwierzyć, że u nas nikt nie chciał zjeżdżać do kraju i praca na budowie postępowała. Zdecydowanie większym kłopotem było rozwiązanie ewakuacji kobiet i dzieci rodzin pracowników polskich z terenów Iraku. Nie przetarto dotąd innych szlaków i możliwości stąd wyjazdu. Do chwili wybuchu wojny korzystano z lotnisk w Bagdadzie i Kuwejcie oraz w bardzo małym stopniu z lotniska w Damaszku ze względu na nie najlepsze stosunki między obu krajami. Ambasada podjęła wreszcie bardzo kontrowersyjną decyzję. Zadecydowano, że ewakuacja odbędzie się polskimi TIR-ami znajdującymi się na terenie Iraku. W skrzyniach samochodów ciężarowych przygotowywano ławki, ale jakoś nie wzięto pod uwagę tego, że przebycie około 850 km w takich warunkach, jadąc praktycznie 3/4 trasy przez pustynie, będzie wyjątkowo uciążliwe. Trudno było sobie nam wyobrazić taką podróż, a jednak parę takich transportów zrealizowano. Nie wiem czy zapomniano o tym, że budowy dysponowały autobusami z klimatyzacją. Widocznie obawiano

się je zabierać, aby w przypadku konieczności szybkiej ewakuacji nie pozbawiać budowy transportu własnego. To były działania nieprzemyślane i nieskoordynowane. Najgorsze jednak było przed nami. Decyzją władz irackich wprowadzono zakaz pracy na nocnych zmianach ze względu na konieczność używania oświetlenia przez pracujący sprzęt. Zakaz oświetlenia zewnętrznego obowiązywał od pierwszych godzin wojny. Wszystkie okna wymagały zasłonięcia, a używanie świateł przy niezasłoniętych oknach groziło natychmiastową interwencją ze strony wojska bądź policji. Zwykle stosowano jedynie słuszną metodę – strzelanie po oknach. Gorszą sprawą była jazda samochodem po zmroku. W pierwszych dniach po wybuchu wojny, po zmroku i w nocy, jeździło się bez świateł. Następnym krokiem było zamalowywanie reflektorów tak, aby zostawała jedynie wąska szczelina oświetlająca drogę, a raczej sam samochód, aby nie dopuszczać do kolizji. Ciekawym rozwiązaniem było wyposażenie posterunków przy wylotach i wjazdach do miast w wiaderka z niebieską farbą i pędzlami typu ławkowiec. Chlapnięcie nim po reflektorach załatwiało sprawę, a kierowca był tylko zobowiązany do wyskrobania szczeliny. Proste, tanie i skuteczne. Ciekawe, kto na to wpadł?

W czasie tych kilku dni wojny nie zanotowano w Iraku zbombardowania żadnego obiektu cywilnego i zapowiadało to wojnę jedynie sił zbrojnych obu stron, przy jednoczesnym założeniu niszczenia infrastruktury wojskowej i przemysłowej. Stąd ataki na lotniska, koszary wojskowe, rafinerie i zbiorniki ropy. Ani miast ani osiedli ludzkich nie atakowano. Mówiono , że ma być to czysta wojna, nie przewidująca strat wśród ludności cywilnej. To na pewno uspokajało również nas i utwierdzało w przekonaniu o słuszności podjętych decyzji o pozostaniu na miejscu i w miarę możliwości wykonywaniu robót. Oczywiście informacje o nie atakowaniu obiektów cywilnych przez Irańczyków dotyczy terenu Iraku. Nieznana była nam sytuacja na terenie Iranu. W czasie naszego pobytu w Bagdadzie kilkakrotnie włączane syreny sygnalizowały nalot samolotów. W pierwszych dniach wojny atakujące samoloty latały na dużych wysokościach i stawały się dobrym celem dla obrony przeciwlotniczej. Strącała ona samoloty przy pomocy rakiet ziemia-powietrze. Zmieniono więc taktykę nalotów. Kilkakrotnie widziałem potem samoloty atakujące rafinerię zlokalizowaną naprzeciw budynku – siedziby Biura Radcy Handlowego, po drugiej stronie rzeki Tygrys. Leciały na bardzo małej wysokości

tuż nad zwierciadłem wody rzeki, przepływającej przez Bagdad i wystrzeliwały rakiety. Naloty te obserwowane były przez grupy ludzi stojących na ulicy wzdłuż brzegu rzeki. Był to szokujący widok. Bagatelizowali oni fakt nalotu na obiekty zlokalizowane w mieście. Traktowali taki widok jak dobre widowisko, nie licząc się z możliwościami zmiany celu ataku.

Wojna przebiegała tak jak opisuję. Z każdym następnym dniem lekceważono dźwięk syren informujących o nalocie. Coraz częściej widać było oświetlone okna domów. Wszystko to świadczyło albo o braku wyobraźni, albo o lekceważeniu śmierci, która mogła nadejść w każdej chwili. W kolejnych dniach dźwięki syren były rzadsze, pomimo coraz bardziej niepokojących informacji z frontu walk. Coraz częściej odbywały się pogrzeby tych, którzy zginęli na froncie. Ciała były dowożone do domów przez samochody wojskowe, którym towarzyszyły samochody cywilne zapełnione bliskimi ofiar. Zgodnie z tradycją transportowi zwłok towarzyszyły liczne wystrzały. Ponieważ broń mieli faktycznie wszyscy, to zarówno przejazd jak i sam pogrzeb, to kanonada wystrzałów. W podobny sposób odbywały się tu zarówno pogrzeby jak i śluby. Również inne okoliczności były okazją do

postrzelania na wiwat.

W tym trudnym czasie usiłowałem dodzwonić się do domu w Polsce. Wydawało się, że najlepszą porą do tego będzie noc. Podobnie myśleli koledzy, którzy też chcieli przekazać rodzinom jakieś wiadomości o sobie. Utworzyła się kolejka do telefonu i zrobiło się lokalne współzawodnictwo, kto dodzwoni się pierwszy. Telefon działał, ponieważ często przeprowadzałem rozmowy z Bagdadem. Musieliśmy wybadać jak należy dzwonić i jak wybierać numery kierunkowe przez satelitę. Wreszcie po kilku nocach oczekiwań udało się pierwsze połączenie z Warszawą. Dodzwonił się do domu jeden z pracowników. Szlak został przetarty i kolejnej nocy udało mi się dodzwonić do mojego domu. Słyszalność była kapitalna i mojej małżonce wydawało się, że dzwonię ze stacji w Bydgoszczy z informacją, że jestem i oczekuję na przyjazd po mnie. Oczywiście wyprowadziłem ją z błędu i wyjaśniłem sytuację u nas w Iraku, uspakajając, że nie jest tak źle jak informują w gazetach i telewizji. Bardzo ucieszył mnie ten kontakt z domem. Przekazałem też informacje dla Zjednoczenia. Ten udany kontakt telefoniczny uspokoił obie strony. Rodzinę, która nie miała żadnych wiadomości jak wygląda wojna w Iraku i mnie, ponieważ już od paru

kolejnych nocy usiłowałem dodzwonić się do domu. Kamień spadł mi z serca. To dobrze, bo nie ma nic gorszego, od niepewności. Nasza budowa według ambasady i Biura Radcy Handlowego okazała się najspokojniejszą, skierowano więc do nas 27 pracowników z tzw. grupy krakowskiej pracującej na terenie Bagdadu wraz z kierownikiem. Okazało się, że w grupie tej było wielu cieśli i zbrojarzy, których nam brakowało. Skierowaliśmy ich więc do prac związanych z budowlami na kanałach. Wykonywane przez nich roboty ciesielskie przy szalowaniach były na wysokim poziomie, a uzupełniane o zbrojenia, przyspieszały znacznie wykonywanie naszych prac. Było to wyraźnie udane pociągnięcie, pomimo początkowych kłopotów z zakwaterowaniem. Temat zakwaterowania dodatkowych ludzi rozwiązaliśmy przez zakupienie i ustawienie dodatkowego baraku. Po początkowym okresie podenerwowania rozpoczętą wojną, wszystko powoli wracało do normy. O trwających działaniach wojennych przypominały tylko dość systematycznie budzące nas rano syreny alarmów przeciwlotniczych i relacje w telewizji przedstawiające ‘’bohaterskie oddziały irackie,, zajmujące kolejne miasta w Iranie. Co innego mówiły coraz częstsze pogrzeby w naszych

okolicach i coraz liczniejsze liście palm zatykane w piaskach pustyni w miejscach grobów. Któregoś wieczora odebrałem telefon z ambasady proszący o przysłanie autobusu dla zabrania z Bagdadu załogi polskich samolotów, które nie miały możliwości startu do Warszawy i chciały się ewakuować przez Damaszek. Proszono mnie o przewóz do granicy w miejscowości Rutba, w której następowała odprawa do Syrii. Dziwna to granica, bo syryjski punkt graniczny zlokalizowany jest 70 km przed Damaszkiem. Oficjalny nowo wybudowany punkt pomiędzy Irakiem a Syrią zlokalizowany jest około 400 km od punktu w Rutbie. Był to wynik zaostrzenia stosunków pomiędzy państwami. Obecnie po dokonaniu irackiej odprawy trasa wiedzie przez pustynię. Po drodze mija się punkt graniczny w miejscu faktycznej granicy. Są tam kompletnie puste budynki. Ten odcinek to czysta pustynia, bez jakichkolwiek zabudowań. Jest to pozornie „ziemia niczyja". Punkt odpraw granicznych w Syrii zlokalizowany był wtedy w baraku wzorowanym chyba na amerykańskich westernach ze śpiącym przeważnie celnikiem, albo żołnierzem. Uzyskanie wizy wjazdowej odbywało się zwykle na zasadach samoobsługi, po podsunięciu pod nos śpiącego żołnierza banknotu 5 dolarowego. Otrzymywało się pieczątkę, a po

jej przystawieniu w paszporcie wpisywało się samemu ilość dni potrzebnych dla załatwienia spraw w Syrii. Opisuję to, bo był to zdecydowanie odmienny punkt graniczny niż w innych krajach arabskich.

27 września na Kampie ogłosiliśmy ostre pogotowie po wiadomości że przyjeżdżają polskie załogi samolotów, a wśród nich jak zwykle stewardessy. W oczekiwaniu na autobus nasza załoga w kuchni przygotowała specjalne potrawy na przyjęcie gości. Wreszcie przyjechali. Autobus otoczyli ci, którzy mieli drugą zmianę. Miłe powitania z obu stron, a dla mnie wielkie zdziwienie, bo wśród załóg zobaczyłem kolegę krótkofalowca z Warszawy. Był nim Włodek SP5DDJ, z którym widzieliśmy się parę miesięcy wcześniej w Piekarach Śląskich. Zdziwienie nastąpiło po obu stronach, ale po chwili już opowiadaliśmy sobie co wydarzyło się od ostatniego naszego spotkania. Włodek latał w Locie jako radiooficer. Zaprosiłem gości na obiad. Były rozmowy i konsumpcja przygotowanych przez naszą kuchnie dań ze sztandarowym czerwonym barszczykiem na czele. Poinformowałem zebranych o konieczności zmiany środka lokomocji na mikrobus, w którym z powodzeniem pomieszczą się wszyscy i o tym, że dostarczymy ich do przejścia granicznego w

Rutbie. O tym, że dalszą część drogi będą musieli przejechać innym transportem, już wiedzieli z naszej ambasady, bo nie udało się załatwić od ręki zezwolenia dla naszego autobusu. Z późniejszych informacji dowiedzieliśmy się, że zabrali się TIR-em wracającym do Polski, a z Damaszku oczywiście samolotem, na który dostali się bez problemów. Po powrocie do kraju Włodek przekazał telefonicznie do mojego domu relacje z naszego spotkania wraz z pozdrowieniami. Prosiłem go o to, przy naszym pożegnaniu. Odwiedziny grupy pilotów i stewardess były bardzo miłym przerywnikiem w naszej codziennej wojennej rzeczywistości i jak się później okazało były przetarciem drogi do Syrii, jako docelowego lotniska, skąd bez przeszkód można było latać do Polski i z powrotem.

Po tych atrakcjach trzeba było zająć się bieżącymi sprawami. Trwające działania wojenne zamknęły dotychczasowe drogi zaopatrzenia Iraku. Pierwszym sygnałem był coraz gorzej zaopatrzony sklep dla cudzoziemców w Bagdadzie, a tym samym były coraz większe trudności z kupnem papierosów, które zniknęły ze sklepów arabskich już w pierwszych dniach wojny. Większość naszych rodaków przebywających w Iraku paliła papierosy. Był to dla nich bardzo odczuwalny

cios. Z chwilą, gdy źródło „wyschło" zaczęliśmy kupować, na suku - tutejszym targowisku - liście tytoniu i po ich pokrajaniu rozpoczęło się przygotowanie ich do palenia. W metalowych puszkach, których ścianki, dno i pokrywka posmarowana była miodem, umieszczano pokrojony tytoń. Po dokładnym uszczelnieniu puszki poddawano ją podgrzewaniu w gorącej wodzie, aby tytoń nabrał aromatu miodu i stał się bardziej użyteczny. Dostępne bibułki do kręcenia papierosów były uzupełnieniem radości naszych rodaków. Ja miałem lepiej, bo wówczas paliłem fajkę i odpadała konieczność kręcenia papierosów. Gorzej było z coraz częściej pojawiającymi się trudnościami w nabyciu benzyny. Dziwne to, bo Irak produkował duże ilości paliw, ale… Bardzo duże zużycie paliwa na froncie i zniszczone niektóre rafinerie powodowały określone skutki. Ceny paliw pozostawały na stałym poziomie. Litr benzyny był tańszy od małej butelki coca-coli. Pomimo trudności w nabyciu paliwa nie podnoszono jego ceny. Wydawało się to dziwne, ale mieliśmy złe doświadczenia krajowe i europejski , żeby to zrozumieć. Budowa zużywała duże ilości paliwa, zarówno benzyny jak i oleju napędowego. Zwykle zbiorniki na Kampie w stacji paliw mieliśmy zawsze pełne. Teraz obawialiśmy

się o regularne dostawy. Często nasze cysterny wracały niestety puste. Musieliśmy szukać nowych dostawców w miejsce zbombardowanych rafinerii. Wysyłałem zaopatrzeniowców do pobliskiej Hadity, która to nie była bombardowana i sprzedawała paliwa. Dotychczas nie mieliśmy problemów z zaopatrzeniem budowy w materiały. Teraz zaczęły się problemy w dostawach cementu i rurek drenarskich. Najgorsza niestety była sytuacja z cementem. Po zniszczeniu przez naloty cementowni, jak również kierowaniu cementu na front, zaczynało go brakować na rynku. Interwencje u Rezydenta Inwestora i w Ministerstwie niestety nie przyniosły większego skutku. Otrzymywane śladowe ilości nie zaspokajały naszych potrzeb. Zaczynała chwiać się budowa, trzeba było szukać dostawców zagranicznych. Uruchomiłem poszukiwania możliwości natychmiastowego zakupu na terenie Kuwejtu, Jordanii, Turcji i Syrii. Z początkiem października zaczęły przyjeżdżać samochody z cementem. Wszystko to wyraźnie bez ładu i składu. Widocznie inne budowy nie odbierały cementu i ten kierowano do nas. Od przybytku głowa nie boli i te dodatkowe ilości nie martwiły nas. Martwiło natomiast to, że cement dostarczany był w workach, a zbiorniki w naszej wytwórni betonu przystosowane były

do odbioru z cementowozów. Wynajmowani przewoźnicy stanowili koloryt rzucający się w oczy. Byli to głównie kierowcy tureccy, syryjscy i jordańscy – cały przegląd sąsiadów. Turcy przywozili wspaniałe solone orzeszki laskowe, Syryjczycy mandarynki, a Jordańczycy zarówno pomarańcze jak i wspaniałe słodkie mandarynki. Oczywiście były to towary poza zasadniczymi dostawami cementu. Podziwialiśmy ich za sposób ładowania samochodów. Ładunek był zdecydowanie przekraczający ich nośność. Same samochody stanowiły też przykład chęci wyróżniania się na drodze od innych. Obwieszone migającymi światełkami bardziej przypominały choinki Świąt Bożego Narodzenia, niż pojazdy transportowe. Ot taki lokalny koloryt. Każdy przyjeżdżający na Kamp samochód natychmiast był przejmowany przez zorganizowane grupy rozładowujących i kierowany do naszej wytwórni betonu, a konkretnie do jej silosów napełnianych cementem.

Najciekawsze z tego wszystkiego było to, że irackie Ministerstwo będące naszym bezpośrednim inwestorem, nie uznawało faktu prowadzenia przez Irak wojny. W zawartych umowach kontraktowych był punkt mówiący o możliwości przerwania robót, zwiększenia wartości umowy w

związku ze wzrostem cen materiałów itp. Faktów, które w normalnych warunkach innego kraju prowadzącego wojnę stanowiłyby podstawę do obrony interesów wykonawcy, niestety nie było w Iraku. Oficjalnie nie wypowiedział on wojny. Dziwne to wszystko, ale do tego typu dziwadeł trzeba było się przyzwyczaić i jakoś załatwiać dostawy materiałów, paliw i pozostałego sprzętu niezbędnego do prowadzenia robót. Sposoby były różne, często wręcz śmieszne wynikające z rozeznania rynku i lokalnych obyczajów. Kierowcy, którzy jeździli po paliwo do rafinerii, zaopatrywali się w Syrii w karty do gry ze zdjęciami pornograficznymi, które jak się okazało były doskonałą przepustką wręczaną żołnierzom pełniącym wartę przy bramie. Tym sposobem temat paliw również został rozwiązany. W zasadzie większość przeszkód została usunięta. Najgorsze było jednak ograniczenie, a raczej zakaz pracy w nocy. Wojna trwała, pomimo że oficjalnie jej nie było. Utrudnieniem był brak możliwości przerzutu ludzi na budowę przez Bagdad z uwagi na zamknięte lotnisko. Tradycją już stało się wysyłanie raz w tygodniu autobusu do Damaszku gdzie kierowano samoloty z ludźmi przybywającymi z kraju i wysyłanie osób kończących kontrakty do kraju. Było to uciążliwe zarówno dla kierowców jak i

pasażerów autobusu. Pokonanie 800 km przez pustynie nie należało do najprzyjemniejszych. Upał był bardzo męczący. Jedynie dobre drogi rekompensowały ten wielogodzinny przejazd. Można było jedynie oglądać często występujące zjawiska fatamorgany na skutek wysokich temperatur i dużego nasłonecznienia pustyni. To o czym niejedni czytali w książkach, można było zobaczyć na własne oczy.

Irackie dzieci beztroskie mimo wojny

Ramadi

W tym mieście spędziłem prawie trzy lata. Mieściła się tu siedziba gubernatora jak i wszystkie większe urzędy, duży budynek sądu, banki, szpital i hotele, a nade wszystko duży, z daleka widoczny meczet ze złotą kopułą i dwoma minaretami. Z tych właśnie minaretów pięć razy dziennie odzywał się głos muezina nawołującego do modlitwy. Nie musiałem nastawiać budzika, gdyż co rano budził mnie głos kapłana. Równo ze wschodem słońca wyruszałem na Kamp. W okresie kiedy tam mieszkałem, miasto liczyło około 200 tysięcy mieszkańców.

W Ramadi mieszkał w pięknym pałacu szejk Beduinów. Była to znana postać w świecie arabskim, bardzo wpływowa w Iraku ze względu na olbrzymie bogactwo jakim dysponował. Był właścicielem prawie całej Pustyni Syryjskiej, co że względu na stwierdzone tam olbrzymie zasoby ropy naftowej stawiało go w szeregach najbogatszych ludzi świata. Miałem okazję poznać go osobiście w okresie kiedy miałem problemy z wydobyciem z więzienia pięciu naszych pracowników. Poradzono mi wtedy aby

udać się o pomoc do niego właśnie. Oczywiście wymagało to wcześniejszego zaanonsowania się i uzyskania zgody na przyjęcie. Po załatwieniu wszystkich formalności i ustaleniu daty, udałem się do jego siedziby. Zostałem przyjęty na zewnątrz budynku na tarasie, na którym czekał już szejk. Pamiętam doskonale jak podano nam najpierw herbatę a później kawę. Zarówno w pierwszym jak i drugim przypadku napoje podane były w złotych i srebrnych filiżaneczkach wysadzanych drogimi kamieniami. To robiło wrażenie. Po wysłuchaniu mojej prośby i wyjaśnień co robimy na tych terenach, wezwał swojego syna, który poinformował, że mamy jechać za nim. Sam zasiadł za kierownicą czarnego mercedesa i udał się w kierunku miasta. Szybko pożegnaliśmy się z szejkiem dziękując za przyjęcie, nie wiedząc jaki będzie efekt naszej prośby, pojechaliśmy za samochodem. Dotarliśmy do budynku więzienia w którym zatrzymano naszych pracowników. Na widok syna szejka wszyscy, zarówno strażnicy, jak i komendant więzienia stanęli na baczność. Jak później opowiadał mi tłumacz, który był ze mną, syn szejka wydał komendantowi więzienia nakaz natychmiastowego zwolnienia naszych pracowników. Po paru minutach byli już wolni.

Okazało się w praktyce, że opowieści o

olbrzymim wpływie szejka, traktowanego jako osobistego przyjaciela Saddama Husseina, były prawdziwe. Pracownicy po trzech dniach opuścili Irak i wrócili do swoich domów. Sprawa, ta nie rokowała szybkiego rozwiązania ze względu na rangę przewinienia (dotyczyła sfałszowania wizy pobytowej). Polegało to na podrobieniu daty ważności dokumentu poprzez przerobienie kropki (arabskie zero) na pionową kreskę (arabska jedynka). Ponieważ te dokumenty oddawano z chwilą zamierzonego wyjazdu z Iraku, wykryto to natychmiast. Nasi pracownicy nie wierzyli w porządek urzędników arabskich i wydawało się im, że to nie wyjdzie na jaw.

W Ramadi mieszkało się dobrze, nigdy nie miałem żadnych kłopotów ani jakichkolwiek incydentów. O tym że wiedziano o nas wszystko miałem okazję przekonać się pewnego wieczoru kiedy to do bramy mojego domu zadzwonił dzwonek. Kiedy wyszedłem zobaczyć kto stoi za drzwiami, zobaczyłem mojego sąsiada z Bydgoszczy - Andrzeja wraz z jego żoną i synem. Właśnie przyjechali samochodem z Polski, a ściślej właśnie z naszego miasta. W okresie tym była u mnie żona, a znaliśmy się dobrze wszyscy bo mieszkaliśmy w jednym budynku, w tej samej klatce. Oczywiście zatrzymali się u mnie.

Ciekawiło mnie tylko w jaki sposób trafili do mnie, bo Andrzej nie znał mojego adresu, a tylko adres skrytki pocztowej. Okazało się, że sprawa była wyjątkowo prosta. Na rogatkach miasta zapytał policjanta, czy nie wie gdzie mieszkam? W odpowiedzi na pytanie policjant siadł na motor i kazał jechać za sobą dojeżdżając do mojej bramy! Tak to wyglądało w państwie typowo policyjnym. W końcu moim sąsiadem w Ramadi był szef policji w tym mieście.

Każdego ranka wyjeżdżałem swoim samochodem na Kamp położony po drugiej stronie Eufratu jadąc po wale przeciwpowodziowym na most. Lubiłem jeździć tamtędy ze względu na mało zatłoczony przejazd, ale również na krzaki mimozy rosnące wzdłuż drogi. Oczy cieszył widok wschodzącego słońca przebijającego się przez palmy rosnące nad rzeką, a intensywny zapach mimozy dopełniał wrażeń.

Fauna i flora

W czasie mojego pobytu w Iraku spotykałem różne zwierzęta, nieznane w naszych warunkach klimatycznych. Na pustyni najliczniej zobaczyć można było dzikie psy i szakale, które zamieszkiwały w norach w niedużej odległości od siedzib ludzkich. Dało się je lubić ze względu na wygląd - mniejsze od wilka, większe od lisa o bardzo sympatycznej mordce. Obserwowałem kiedyś rodzinkę szakali, które zamieszkiwały w norze na terenie naszej budowy. Żałowałem wtedy, że nie miałem aparatu fotograficznego, żeby uwiecznić je na kliszy. Była tam rodzina składająca się z dwójki dorosłych i trójki małych szakalątek. Można było godzinami siedzieć i obserwować ich zachowanie. Na samej pustyni trzeba było uważać jednak na stada dzikich psów, które atakowały wszystko co się rusza. Zdarzało się ponoć spotkać tu hieny, ale ja nigdy ich nie widziałem. Można było natomiast często stanąć oko w oko z waranem pustynnym, którego wielkość dochodziła nawet do 1,5 metra. Przy bliskim poznaniu okazywały się niezbyt piękne. W zasadzie były roślinożerne, ale nie gardziły też małymi ssakami. Bardzo

szybko biegały. Dogonienie ich nie było proste. Aby je sfotografować trzeba było przyczaić się z samochodu, bądź wtedy kiedy udało się je zagonić w miejsce gdzie nie miały gdzie się ukryć. Kiedyś spotkałem to zwierzę w pobliżu jeziora Tartar, nad które zwyczajowo wybieraliśmy się prawie w każdy piątek aby popływać. Tartar to sztuczne jezioro o długości 120 km sięgające pod Samarę. Sam dojazd tam był pewnego rodzaju wyzwaniem. Jazda przez pustynię nie była łatwa, trzeba było na początku ustalać sobie jakieś charakterystyczne punkty, które stanowiły znaki wyznaczające drogę. Na początku stosowaliśmy zaznaczanie na przedniej szybie punktu położenia słońca, oczywiście o określonej godzinie. Zdawało to egzamin i powrót do domu był zdecydowanie łatwiejszy. Awarię samochodu, bądź zgubienie drogi zawsze trzeba było brać pod uwagę.

W czasie mojego pobytu, tylko jeden raz organizowaliśmy poszukiwanie samochodu z rodziną na pustyni. Wyruszyliśmy na ich poszukiwanie w 10 samochodów. Przyjętą zasadą była widoczność sąsiednich aut po lewej i prawej stronie. Znaleźliśmy zaginionych nad jeziorem z kompletnie wyczerpanym akumulatorem w samochodzie. Przesiedzieli tam prawie całą dobę. Byli to pracownicy Polimexu, z którymi na co

dzień współpracowaliśmy.

Przebywając na pustyni trzeba było uważać na licznie występujące skorpiony białe, brązowe i czarne oraz wielkie kudłate pająki. Do kompletu zwierząt występujących tu zaliczyć jeszcze trzeba skoczki pustynne będące w swojej budowie miniaturkami kangurów. Jest to pocieszne zwierzątko. Nasi pracownicy chcieli je udomowić, ale niestety nie były chętne do przyjaźni z człowiekiem.

Znienacka można było stanąć oko w oko z wężem czy żmiją, z którymi nie warto było nawiązywać bliższych kontaktów. Raz jeden miałem taką wątpliwą przyjemność i w efekcie posiadam do dziś ściągniętą z węża skórę o długości ponad metra.

Natomiast do sympatycznych zwierzątek, z którymi miałem prawie na co dzień kontakt mogłem zaliczyć domowe jaszczurki długości maksymalnej około 10 – 15 cm. Są one zupełnie przeźroczyste. Na stałe przebywały albo na sufitach, gdzie polowały na komary i muchy, albo na zewnątrz domu na ścianach w pobliżu świecących się lamp. Czasem chowały się w różnych miejscach, a między innymi za lustrem w łazience. Dla osoby, która nie była na to przygotowana, widok wyglądającej zza lustra

jaszczurki mógł przyprawić o palpitacje serca. Takie przeżycie miała moja żona w czasie porannej toalety. Trzeba było do tych dzikich lokatorów przyzwyczaić się, ponieważ jakby nie było były u siebie. Niemniej w początkowym okresie miałem problemy z przyzwyczajeniem się do widoku jaszczurki przyczepionej do sufitu tuż nad moją głową. Nie były to niebezpieczne zwierzątka ale jednak dzicy lokatorzy. Gorzej było jeżeli do domu dostały się skorpiony bądź pająki lub węże, czy żmije. Dlatego też w Iraku zawsze kontroluje się szczelność drzwi i okien.

Zdecydowanie w gorszej sytuacji byli mieszkańcy Kampu. Bliskość pustyni powodowała, że często napotykano na skorpiony, pająki i węże buszujące w barakach. Widok węża pełzającego po korytarzu nie powodował paniki, a skorpiony po złapaniu zalewane były żywicą. Po stężeniu żywicy i późniejszej obróbce powstawały egzotyczne pamiątki w postaci wisiorków lub uchwytów do kluczy. Zbierano również pająki, które przebijano szpilkami i mocowano do styropianu. Wyglądały teraz jak zrobione z moheru maskotki. Występowały w trzech kolorach - białym, czarnym i brązowym.

Roślinność występująca na pustyni była bardzo uboga. Po okresie zimy, gdy padało,

pustynia na bardzo krótki okres zazieleniała się, a nawet pokazywały się miniaturowe kwiatki i piękne kolorowe osty które rozkładały swoje liście na piaskach pustyni.

Inne kwiaty spotykało się nad rzekami i w miastach. Nie zauważyłem jednak aby w otoczeniu domów powstawały jakieś ogródki kwiatowe. Widocznie to nie ta kultura i szkoda im miejsca na kwiaty, wymagające w tym klimacie szczególnej opieki. Trochę to dziwne bo tutaj każdy wsadzony kij ma szanse wypuścić listki.

Uprawiano pszenicę, którą zbierano dwa razy do roku, lucernę, która bardziej spożywana bywała przez ludzi niż zwierzęta. Najczęściej sadzone były arbuzy, które wymagały dużej ilości wody i małego nakładu pracy. Na targowiskach spotykałem też rzodkiew, która przyjmowała duże rozmiary wielkości jabłka. Podobnie jak kapusta, której głowy ważyły średnio 5 kg. Buraki czerwone dopełniały ubogi rynek warzyw. W okresie w którym byłem, zdecydowana ilość żywności - owoców i warzyw - była sprowadzana z sąsiednich krajów.

Na miejscu uprawiano pomarańcze i mandarynki, ale nie były to duże ilości. Zakładane sady wymagały dostaw wody, a z tym farmerzy mieli jednak trudności. Tereny poddane melioracji

szybko były zagospodarowywane. Rolników przyciągał nielimitowany dostęp do wody na terenach objętych melioracją.

Arabowie i środek transportu

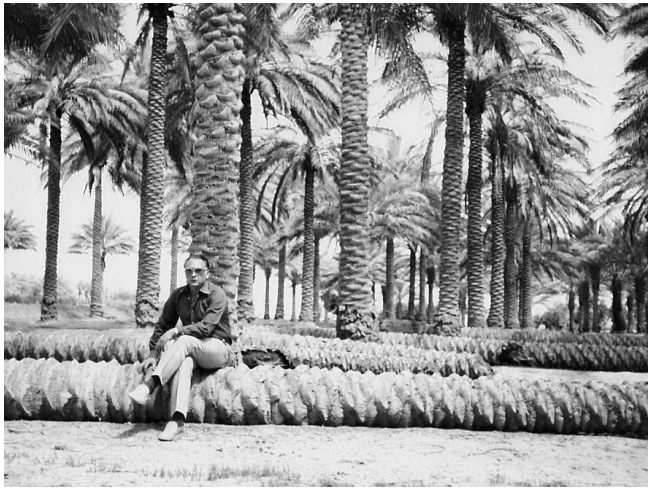

Wśród palm

Moje pierwsze Boże Narodzenie poza granicami kraju

Zbliżały się Święta Bożego Narodzenia. Przez większość Polaków są one bardzo uroczyście obchodzone . Zwykle wszyscy dążą do tego, aby spędzać je w jak największym gronie rodziny. Tym razem nie było to możliwe, nasi najbliżsi byli od nas o tysiące kilometrów. Zastanawiałem się jak to urządzić, aby nasza załoga odczuła to możliwie jak najmniej boleśnie. Kilkanaście dni przed zbliżającymi się Świętami zwołałem naradę osób, które były bezpośrednio odpowiedzialne za to, aby nasze zamierzenia się udały. W składzie tej grupy było całe kierownictwo budowy, lekarz, szef kuchni i pion odpowiadający za zaopatrzenie żywnościowe. Wszystko byłoby stosunkowo proste, gdyby można było dostać wszystkie potrzebne produkty. I tu pojawiły się pierwsze problemy. Skąd wziąć śledzie solone, grzyby i mak? Dostawy z kraju były absolutnie niemożliwe. Można by ewentualnie liczyć na to, że wezmą potrzebne produkty przyjeżdżający z kraju robotnicy. Czy to się im uda? Zaapelowałem szczególnie do szefa kuchni i naszych kucharzy

aby nawiązali kontakty z innymi budowami, które jeszcze zostały w Iraku i sprawdzili czy może tam mają w nadmiarze typowo polskie produkty. Temat kapusty kwaszonej został rozwiązany we własnym zakresie. Kapusta biała była dostępna na rynku, a szatkowanie przebiegało normalnie na szatkownicach wykonanych przez naszych mechaników. Kapusta, według szefa kuchni już się kisiła . Buraki na barszcz również były i z tym nie było najmniejszego kłopotu. Najgorzej było z grzybami potrzebnymi zarówno do pierogów, bigosu jak i ewentualnie czerwonego barszczu. Dochodził też temat ryb, ale z tym sobie poradziliśmy. Nasi wędkarze zostali wysłani na połowy na jeziorze Tartar gdzie ryb jest zatrzęsienie. To efekt pracy naszych ichtiologów pracujących w Iraku. Grupa ta mieszkała w Faluji niedaleko Ramadi. Byłem tam u nich z wizytą i poczęstowali mnie jakimiś rybami zrobionymi na „śledzie". Nie był to ten oryginalny smak, ale trochę je przypominały i można było je zrobić również na wigilię . Święta zbliżały się wyjątkowo szybko. Mieliśmy już wszystko przygotowane. Wigilia miała odbyć się tak jak w kraju 24-ego grudnia o godzinie 18.00 w pomieszczeniach stołówki. Miejsc powinno wystarczyć dla wszystkich. Brak nam było tylko własnych

rodzin, o których właśnie w tym szczególnym dniu zawsze intensywnie myślimy. Wszystkie żony, które były w odwiedzinach, już wyjechały i nie mogły stanowić okrasy tego wieczoru. Zgodnie z ustaleniami cała załoga budowy zebrała się na wigilię przy zastawionych stołach. Na początek przywitałem wszystkich przypominając o tradycji tych Świąt i życzyłem przetrwania na kontrakcie w dobrym zdrowiu i samopoczuciu pamiętając o tym, że daleko od nas być może w tym samym czasie przy stołach wigilijnych siedzą nasi najbliżsi. Patrząc na ludzi widziałem na ich twarzach wyjątkową powagę i zadumę. Myślami byli gdzie indziej, to zrozumiałe. Okazało się że wielu otrzymało w listach opłatki i tymi opłatkami dzieliliśmy się wszyscy składając sobie życzenia. Po tych przyjemnych akcentach nasza kuchnia pokazała na co było ją stać. Na stoły wjechał barszcz czerwony, pierogi z kapustą, a później ryby, a na koniec postna kapusta z grzybami. Owoców było dużo, ale niestety były to tylko mandarynki, pomarańcze i orzechy. Oczywiście czołowe miejsce zajmowała sztuczna choinka ozdobiona migającymi lampkami tworząc tym samym świąteczną atmosferę. Na twarzach naszych pracowników widać było zadumę. Widocznie ich myśli bezwiednie leciały do

bliskich. Wszyscy byli zadowoleni, a kucharze dumni, że wywiązali się z nałożonych na nich obowiązków przygotowania niezapomnianej Wigilii. Przez cały czas w tle było słychać polskie kolędy, których nagrania przywieziono z kraju. Wspólne śpiewanie kolęd zakończyło wieczór wigilijny. Dla chętnych na wyjazd na pasterkę do polskiego kościoła w Bagdadzie przygotowano dwa autobusy i mikrobus. Obydwa autobusy były zapełnione. Część ludzi jednak nie pojechała. Resztę świątecznego wieczoru i nocy chcieli spędzić sami. Tak minęła nam Wigilia, a pozostałe świąteczne dni były normalnymi wolnymi dniami z lepszym świątecznym wyżywieniem.

W drugi dzień Świąt wspólnie z trzema zastępcami pojechaliśmy dwoma samochodami do pobliskiej kopalni miki na pustyni. Siedząc i rozmawiając w aucie, myślami byliśmy w kraju. Chcieliśmy również też trochę wspólnie pomilczeć. W pewnej chwili ktoś puścił w odtwarzaczu samochodowym kolędę „Bóg się rodzi”, było to tak niespodziewane w tej scenerii, że po prostu wszystkich zamurowało. Odbiór takich melodii z dala od kraju, na pustyni w temperaturze 24 stopni Celsjusza jest nie do opisania. Podobne chwile przeżywałem na terenie naszej ambasady uczestnicząc w akademii z okazji 22 lipca, kiedy

przed rozpoczęciem uroczystości z głośników popłynął polski hymn. Coś się w człowieku wewnątrz zagotowało. Jest to możliwe jedynie poza granicami kraju, w określonych warunkach wśród Polaków. To jest nostalgia – tęsknota za krajem i bliskimi.

Zamiast śniegu i choinki - słońce i palmy

Ramadan - wpływ islamu na codzienne życie Polaków w Iraku

Ramadan przypada w dziewiątym miesiącu kalendarza muzułmańskiego. Uważany on jest przez muzułmanów za święty, gdyż w tym miesiącu rozpoczęło się objawienie Koranu - świętej księgi islamu. Podczas trwania ramadanu od świtu do zmierzchu (około 15 minut po zachodzie słońca) muzułmaninowi powyżej 10 roku życia nie wolno spożywać żadnych pokarmów, pić żadnych napojów, palić tytoniu, używać kosmetyków i uprawiać seksu. Dużo w tym czasie należy poświęcać modłom. Ostatni posiłek przed kolejnym dniem postu muzułmanin może spożyć przed świtem, ale jeżeli usłyszy nawoływanie do modłów, to powinien ten posiłek przerwać i nie kontynuować jedzenia. Praktycznie jedzą oni dwa razy przed świtem i raz po zmierzchu. Oczywiście jest jeszcze wiele zastrzeżeń i sankcji za nie przestrzeganie zasad postu. Od postu zwolnione są miedzy innymi osoby przebywające w podróży powyżej trzech dni, kobiety ciężarne i chore. Osoby takie mogą wybrać sobie dowolne 30 dni postu, a w czasie

ramadanu nakarmić przynajmniej jedną osobę, której nie stać na posiłek. Przestrzeganie postu nie jest do sprawdzenia, jednak stanowi on lekcję najszczerszego poświęcenia dla uzyskania łaski Allacha.

Modlitwa w islamie jest szczególnie przestrzegana. Każdy wyznawca islamu ma obowiązek odmawiania jej 5 razy dziennie w miejscu, w którym aktualnie się znajduje. Nam Polakom dziwne początkowo wydawało się spotkanie na ulicy muzułmanina, który na nawoływanie z meczetu rozkładał na ulicy specjalny dywanik i odmawiał modlitwę po obowiązkowym obmyciu ciała. Ja spotkałem się również z tego typu praktykami na przykład w czasie konferencji u Rezydenta kontraktu, który w czasie narady robił przerwę na modlitwę przepraszając zebranych. Wychodził do drugiego pokoju i tam oddawał się modlitwie. Wydawało się to nam dziwne, ale świadczyło o podejściu do wyznawanej religii.

Wszystkie te przyjęte przez Islam zasady są określone w Koranie, którą to księgę każdy wyznawca powinien znać. Już od najmłodszych lat w szkołach dzieci uczą się na pamięć poszczególnych stron Koranu. Wyrabia to w nich nawyk nauki na pamięć i jak sądzę jest to

również wyjaśnieniem przyczyny szybkiej nauki języków obcych przez Arabów. Najlepszym tego przykładem był zatrudniony na budowie młody Arab, który w przeciągu trzech lat mojego pobytu doskonale nauczył się języka polskiego. Znał przy tym na tyle dobrze język angielski w piśmie, że tłumaczył wszystkie pisma wychodzące z budowy do instytucji arabskich.

Dla zrozumienia Irakijczyków i poznania ich kultury kupiłem przed wyjazdem polskie tłumaczenie Koranu i usiłowałem czytać już w Iraku. Było to o tyle łatwiejsze, że w przypadkach wątpliwych miałem kogo prosić o wyjaśnienie . Okres postu był bardzo kłopotliwy dla cudzoziemców, którzy nie znając istoty Ramadanu mieli pretensje, że w tym okresie nic nie można było kupić. Powoli wszyscy się do tego przyzwyczaili i zrozumieli, że dniem świątecznym w Iraku jest piątek, a nie niedziela, jak to jest u nas w kraju i w innych krajach katolickich. Jako szef budowy miałem również w związku z tym żądania grupy inicjatywnej powołania na budowie Solidarności, która to bezimienna grupa sformułowała listę postulatów. Na liście tej było żądanie likwidacji piątku, jako dnia wolnego, a wprowadzenie świątecznej niedzieli. Grupa, powstała jak sądzę z osób przybyłych z kraju,

zagroziła ogłoszeniem strajku w przypadku nie spełnienia żądań. Ponieważ działo się to wszystko po wybuchu wojny i obowiązywania w Iraku specjalnych obostrzeń i niemożliwości spełnienia żądań części (jak sądziłem) załogi, ogłosiłem na piśmie wywieszonym na tablicach ogłoszeń skutki takich działań w kraju prowadzącym wojnę. W przypadku strajku i przerwania pracy skutki byłyby dla całej załogi. Podałem również do wiadomości, że osoby które nie zgadzają się z moją decyzją mogą natychmiast opuścić Irak przerywając swój kontrakt. Zostanie podstawiony autobus, a w biurze będzie urzędował kadrowiec wydający paszporty i zaświadczenia pozwalającego uzyskać bilet lotniczy na przelot z Syrii do Polski.

W określonym dniu nikt nie stawił się na miejscu zbiórki i nie zdecydował się na opuszczenie Iraku. Tym sposobem bez żadnych narad, konsultacji, czy uzgodnień sprawa przestała istnieć, a wspomniana grupa inicjatywna nie ujawniła się. Mnie jako szefowi budowy pozostała na pamiątkę kartka z postulatami, która była umieszczona na tablicy ogłoszeń w stołówce. Do pragnących pracować na kontraktach zagranicznych musiał dotrzeć fakt, że znajdują się w określonym kraju jako goście i muszą przestrzegać wszelkich zasad obowiązujących wszystkich mieszkańców

danego kraju. Wszelkie próby naginania prawa dla własnych potrzeb mogą uruchomić ciąg konsekwencji niejednokrotnie bardzo przykrych. Przebywanie w więzieniach w różnych krajach zwykle jest bardzo nieprzyjemne. W Iraku między innymi wielu Polaków doświadczyło tej „przyjemności". Byli skazani czasem wręcz za błahostkę. Najwięcej notowanych przypadków było wśród kierowców. Spowodowanie kolizji z samochodem irackim skutkowało zabraniem obcokrajowca do więzienia niezależnie od tego, kto był winny. Więzienia irackie nie zapewniały więźniom posiłku, ani posłania. Mieliśmy takie przypadki również na naszej budowie i zawsze musieliśmy dostarczać zatrzymanemu zarówno posiłek, jak i koce do okrycia. Wyciągnięcie z więzienia zatrzymanego to ciąg zadań począwszy od uzyskania zgody sędziego, wpłacie określonej kwoty kary oraz wydobycie dokumentu tożsamości z biura więzienia. Przestrzegaliśmy więc zasady nie podróżowania samochodem z paszportem, tym bardziej że każdy z nas posiadał wydawany przez władze irackie dokument tożsamości tzw. Resident Book .Temat kontaktów związanych z wyciągnięciem aresztowanych ćwiczyłem kilkakrotnie. Nie było to ani łatwe, ani przyjemne .Kara była opłacana przez budowę

pomimo, iż nie dopatrywaliśmy się winy naszego kierowcy. Płaciło się za to, że w danym czasie był po prostu ze swoim samochodem na określonej drodze, na której doszło do kolizji. Wydaje się to głupie i do podważenia przez każdy sąd, ale nie arabski, który uważał że cudzoziemcy są między innymi po to, aby zawsze płacić za zdarzenie w Iraku niezależnie od udowodnienia winy. Tak jak napisałem powyżej, temat poruszania się po drogach Iraku oraz stosowanie się do zasad, przepisów i procedur przyjętych przez kierowców i akceptowanych przez policję, wymaga odrębnego szerszego naświetlenia. Doświadczenia w tym zakresie uzyskane przez okres 3 lat i zrobienia w tym czasie blisko 250 tys. kilometrów zmuszają mnie do podzielenia się uwagami na ten temat. Sądzę, że może komuś czytającemu ten tekst, a znajdującemu się w krajach arabskich i zmuszonych do prowadzenia pojazdu, te uwagi ułatwią życie.

Samochód jako podstawowy sposób poruszania się w Iraku

Chcę teraz wyjaśnić o co chodzi w tytule. Tak jak poprzednio pisałem samochód którym jeździłem w Iraku i przejechałem w sumie ćwierć miliona kilometrów to służbowa Toyota Corona o pojemności 2,0 l, benzynowa o mocy 150 KM. Oczywiście wyposażona była w klimatyzację, bo bez tego każda podróż w tamtejszym klimacie byłaby wręcz niemożliwa. Przez cały czas mojego pobytu sprawowała się bez najmniejszych kłopotów. Wymagała tylko nalewania benzyny i codziennego czyszczenia filtra powietrza. Przy tak dużym zapyleniu, szczególnie poruszając się po nie utwardzonych drogach na budowie, wieczorem wytrzepywało się kilogramy piasku z filtra. Kolejny wymóg to zabezpieczenie reflektorów od uderzeń kamieni i żwiru, który często znajdował się również na asfalcie. Sypał się z wywrotek przewożących bez zabezpieczenia żwir. Zwykle zakładaliśmy przed szkłami reflektorów siatkę metalową ochraniającą szkło przed zbiciem. Gorszą sprawą były szyby, na które trudno było zakładać jakiekolwiek siatki.

W sumie w czasie mojego pobytu wymieniałem szyby 6 razy. Raz po podróży do Kuwejtu, gdzie przejeżdżając przez pustynię saudyjską trafiłem na burzę piaskową. Po przejechaniu tej trasy szyba przednia była dokładnie przeszlifowana piaskiem uniemożliwiając patrzenie. Była wręcz matowa. Wymiana szyby nastąpiła zaraz po przyjeździe do Kuwejtu. W każdym z krajów arabskich do których wjeżdżałem samochodem, istniały jakieś przepisy drogowe i znaki drogowe. Jednak ich nikt nie przestrzegał. Najczęściej służyły one jako tabliczki ogłoszeń na których przyklejano różnego rodzaju informacje, czy też zdjęcia lokalnych przywódców. Obowiązek ograniczonego zaufania do innych użytkowników drogi był jak najbardziej na miejscu. Pierwsze kilometry prowadzenia samochodu, to była prawdziwa próba przetrwania. Chrzest bojowy przeszedłem na początku mojego pobytu, kiedy musiałem pojechać do Bagdadu na jakąś naradę u Radcy Handlowego. Ostrzeżony przez kolegów o sposobie jazdy zdawałem sobie sprawę, że pierwszy raz będzie trudno. Rzeczywistość okazała się znacznie gorsza. W Iraku nie obowiązywało włączanie kierunkowskazu przed skrętem. Okazały się one zupełnie niepotrzebne. Przyjęty zwyczajowo sposób sygnalizacji wysuniętą na

zewnątrz ręką wystarczał do jazdy. Trzeba było się do tego przyzwyczaić. Z Ramadi do Bagdadu prowadziła droga szybkiego ruchu, po dwa pasma po każdej stronie, oddzielone od siebie murkiem z kamienia wysokości 30 cm. To, że wyznaczone były dwa pasy ruchu nie oznaczało w praktyce, że poruszają się obok siebie tylko dwa samochody. Zwykle było ich trzy, a w związku z tym odległość pomiędzy nimi była minimalna. Ponieważ ilość jadących samochodów była duża, taka forma jazdy wydawała się normalna. Nikt nie denerwował się i nikt nie miał do nikogo pretensji. Wjechałem do Bagdadu. Zobaczyłem pierwsze duże rondo z dochodzącymi przynajmniej sześcioma ulicami zapchanymi samochodami. W środku ronda na podwyższeniu stał policjant usiłujący kierować ruchem. Był bezradny. W takiej sytuacji do zakorkowania ronda potrzebne były sekundy. Tak też się stało. Miałem nadzieję, że w takiej sytuacji sprawę rozładuje policjant. Jakież było moje zdziwienie, kiedy ten zszedł z podwyższenia i po prostu zniknął w tłumie. Decyzja teraz była w rękach kierowców. Czekano tylko, kto pierwszy złamie się i będąc uprzejmym puści kierowcę z sąsiedniej ulicy. Tak też było. Rondo jakoś samo się rozładowało! Najgorsze z tego było to, że temperatura na zewnątrz znacznie przekraczała

40 stopni C. Mimo, iż w samochodzie działała klimatyzacja, to koszula stawała się coraz bardziej mokra. Jakoś dotarłem szczęśliwie do siedziby Radcy Handlowego cały mokry, ale dumny, że pierwszy raz jechałem i udało mi się dojechać do biura. Po prostu trzeba bardzo uważać i nauczyć się miejscowego stylu jazdy. Uwaga jest również potrzebna ze względu na stosowane na jezdniach progi, zwane zwyczajowo śpiącymi policjantami. Są stosowane przy każdym skrzyżowaniu, a ponieważ progi są stosunkowo wysokie, nie chcąc uszkodzić samochodu trzeba zwolnić. Podkreślam ten fakt, bo w Iraku nikt nie stosował ograniczenia prędkości niezależnie gdzie się jechało, czy w mieście, czy poza nim. Za miastami trzeba było szczególnie uważać na poruszające się po jezdniach osły. Wielokrotnie niepotrzebne już nikomu zwierzęta wyprowadzane były na pustynię, gdzie krępowano im nogi i pozostawiano. W większości padały ofiarą hord dzikich psów lub szakali. Czasem uwolniwszy się w jakiś sposób, wędrowały po drogach gdzie jednak było trochę bezpieczniej niż na pustyni.

Kolejny temat to parkowanie samochodu w większych miastach. Przykład Bagdadu jest znamienny. Pozostawienie samochodu w miejscu, gdzie parkują inne samochody zawsze wiązało się

z ryzykiem samowolnej interpretacji znaku postoju przez policjanta znajdującego się na tej ulicy. Zwykle bywało tak, że pozostawione auto przez cudzoziemca było karane za postój, a obok stojące samochody tubylców nie. Trzeba tu wyjaśnić, że wszystkie samochody cudzoziemców oznaczone były pomarańczowymi tablicami rejestracyjnymi i niezależnie od tego, zobowiązane były posiadać napisy w języku arabskim na drzwiach samochodu określające jaką firmę reprezentują. Mandaty były naklejane na przednich szybach, określające gdzie dany mandat należy zapłacić. Od zapłaty trudno było się wymigać, ponieważ duplikaty przesyłane były do wydziałów komunikacji. Z chwilą próby przedłużenia dowodu, oczywiście wymagano najpierw uiszczenia wszystkich mandatów karnych.

Interesującą była jazda przez pustynie po drogach szybkiego ruchu bądź autostradach. W zdecydowanej większości w Iraku w latach mojego pobytu istniały doskonałe drogi szybkiego ruchu, a rozpoczynał się etap szybkiej budowy autostrad. Do budowy autostrad zakontraktowano firmy japońskie, brazylijskie i polskie. Każdy kraj skierowany był do budowy innej autostrady. W pobliżu naszej budowy zlokalizowany był Kamp Japończyków budujących autostradę

przebiegającą przez okręg Ambar. Z firmą tą utrzymywaliśmy bardzo sympatyczne kontakty osobiste, a nasze załogi rozgrywały ze sobą mecze piłki nożnej. Wracając do tematu jazdy po pustyni zwyczajowo przyjęło się, że zbliżające się do siebie samochody jadące z przeciwnych stron miały obowiązek sygnalizowania światłami faktu zauważenia samochodu i potwierdzenia pełnego panowania nad nim. Brak takiej sygnalizacji mógł świadczyć np. o zasłabnięciu bądź zaśnięciu kierowcy. Długotrwała jazda w warunkach pustynnych w dużych temperaturach mogła powodować takie zdarzenia. Zdawało to w pełni egzamin i bardzo ułatwiało jazdę. W okresie pełnego nasłonecznienia przy wysokich temperaturach, przez jezdnie często przesuwały się małe trąby piaskowe utrudniające widoczność, a czarna prosta linia drogi czasami powodowała chwilowe przyśnięcie kierowcy. Jazda w nocy zdecydowanie była bezpieczniejsza. Tyle uwag na temat komunikacji. Myślę, że może to się komuś przyda jeżeli życie skieruje go na arabskie drogi.

Przy okazji jeszcze jedna z ciekawostek na którą zwróciłem uwagę. Chodzi o zawieszone przy lusterkach bocznych ciężarowych samochodów arabskich, czajniki. Związane było to z faktem,

że każdy muzułmanin przed modlitwą musiał się umyć. To była cała ceremonia mycia zarówno rąk, wypłukanie ust, umycie twarzy i nóg oraz części intymnych. Wynikało to z nakazów religijnych. Na spotkanie w czasie modlitwy z Allachem powinno się być czystym. Dzięki temu Arabowie nigdy nie cuchnęli potem, pomimo wysokich temperatur i naturalnego pocenia się ciała. Oby to robili wszyscy, również cudzoziemcy! Pięciokrotne mycie ciała w ciągu dnia dawało efekty i było godne polecenia. Nie chwalę w tym przypadku religii, ale postępowania z niej wynikającego.

Ulica w Bagdadzie

Moje krajowe hobby a Irak

W okresie przygotowań do wyjazdu zastanawiałem się czy uda mi się wystartować z Iraku, jako krótkofalowiec. Temat ten wypłynął na Zjeździe SPDX Klubu w Chorzowie w 1979 roku w czasie rozmowy z Hubertem SP6RT, który przebywał w Syrii i stamtąd pracował po otrzymaniu syryjskiego zezwolenia na pracę w eterze. Namawiał mnie, dając jednocześnie wskazówki, jak to się załatwia poczynając od uzyskania w polskim Ministerstwie odpowiedniego pisma rekomendującego mnie we władzach danego kraju do uzyskania zezwolenia. Hubert również zasugerował mi, abym z chwilą przybycia do Iraku wysłał do niego zaproszenie i na tej podstawie będzie mógł tam przybyć i wspólnie popracowalibyśmy na radiostacji. Jeszcze wtedy nie miałem pojęcia, kiedy uda się tam wyjechać. Byłem dopiero na liście kandydatów do wyjazdu. Temat zakiełkował i po przyjeździe do domu napisałem list do Ministerstwa Łączności z prośbą o wydanie takiej rekomendacji. Otrzymałem ją dość szybko, ale o wyjeździe za granicę żadnego przecieku nie było. Tak jak już pisałem, nagle sprawy przybrały inny

obrót i wyjazd nastąpił bardzo szybko. Ponieważ Irak był, jako kraj bardzo poszukiwany na pasmach amatorskich, z góry cieszyłem się na możliwość pracy z tego kraju.W tamtym okresie z terenu Iraku pracowała tylko jedna stacja amatorska pod znakiem YI1BGD. Była to stacja klubowa bardzo mało aktywna. Uzyskanie karty QSL potwierdzającej łączność było bardzo trudne. Jadąc tam nie miałem zaliczonego Iraku do współzawodnictwa DX-owego. Zastanawiałem się nad zakupem sprzętu, ale mogło to nastąpić nie wcześniej niż otrzymanie licencji od władz Iraku. Na miejscu jak zorientowałem się, takich możliwości nie było. Trzeba by spenetrować Kuwejt, bądź poszukać adresu w Hong Kongu, gdzie ten sprzęt jest najtańszy. Nawiązałem już kontakty przez kolegów pracujących dłużej w Bagdadzie z pewnym Francuzem pracującym w Irackim Ministerstwie Łączności. Wszystko więc byłoby na dobrej drodze, gdyby nie wybuch wojny z Iranem. Francuz „schował pod siebie ogon" nie chcąc ryzykować tłumaczył, że mój wniosek o pracę krótkofalarską z terenu Iraku należy schować głęboko, bo takie wystąpienie w czasie działań wojennych może być uważane za próbę szpiegostwa. W najlepszym razie może to grozić natychmiastową deportacją. Po takim stwierdzeniu

ręce mi opadły i odwiesiłem sprawę na kołek, jak to się u nas mówi. W czasie poszukiwań sprzętu w sklepach prowadzących artykuły radiowe zauważyłem małe zgrabne radio Panasonic o bardzo rozbudowanym zakresie fal krótkich i o dziwo zawierający BFO umożliwiające odbiór zarówno znaków telegraficznych jak i (fonię) SSB. Bez zastanowienia dokonałem zakupu i wieczorami słuchałem stacji amatorskich, a już na wiosnę 1981 roku stacji pracujących w polskich zawodach SPDXC. Była to wielka radość, ale jednocześnie żal, że nie mogę pracować z Iraku, jako stacja z polskim operatorem. Tak też zakończyła się moja nadzieja uaktywnienia Iraku na pasmach amatorskich. Jedyna pociecha była taka, że nie słyszałem też pracy stacji klubowej z Bagdadu.

Temat mojego hobby omawiałem kiedyś w rozmowach z jednym z konsulów Ambasady Polskiej w Iraku. Nawiązałem z nim kontakt w czasie jednej z narad. Odwiedzaliśmy się wzajemnie. Dość często przyjeżdżał do mnie do Ramadi. Był po prostu sympatyczny i całkowicie bezinteresowny, a mnie taka znajomość przydawała się, chociażby po to, aby kupował mi tytoń do fajki w sklepie dla pracowników dyplomacji.

Okazało się przy naszym kolejnym spotkaniu, że rozmowy na temat krótkofalarstwa nie były całkowicie przez niego zapomniane. Poinformował mnie kiedyś, że jestem proszony do ambasadora w możliwie najkrótszym czasie, a rozmowa jest związana z moim hobby. Nic więcej nie chciał powiedzieć, ale uspakajał, że rozmowa nie będzie nieprzyjemna. Zaintrygowało to mnie, bo zwykle ambasador nie zaprasza do siebie w błahych sprawach. Zaraz następnego dnia pojechałem do Bagdadu i zameldowałem się w sekretariacie informując, że ambasador chciał rozmawiać ze mną, a ja będę czekał u konsula Danka prosząc o informację kiedy ambasador będzie wolny. Po zejściu na dół, gdzie mój znajomy miał swój pokój, nie usiadłem jeszcze, a już mieliśmy z sekretariatu informację, że ambasador jest już wolny i na nas czeka. Dotychczas nie miałem bezpośrednich kontaktów z nim. Znałem go jedynie z widzenia z różnych narad. Teraz nadszedł czas, aby poznać się osobiście. Tylko, w jakiej sprawie? Wchodząc dało się wyczuć sympatyczną atmosferę ze strony siwego starszego pana o bardzo miłej powierzchowności. Po wstępnych słowach i pytaniach o budowę, stan robót i atmosferę wśród załogi, o której słyszał z relacji swoich pracowników z biura Radcy Handlowego,

zapytał mnie czy jako krótkofalowiec byłbym w stanie udzielić pomocy przy naprawie radiostacji ambasady. Poinformował mnie, że przybycie ekipy z kraju jest możliwe, ale są to ogromne koszty. Nie mogą przyjechać zaraz, a kontakt radiowy z krajem i innymi placówkami jest niezbędny. Trochę mnie to zainteresowało, ale z góry zaznaczyłem, że nie wiem, jakiego typu są to urządzenia i nie wiem czy uda się je naprawić. Myślałem, że następny krok to zaprowadzenie mnie na miejsce i pokazanie urządzeń nadawczych. Nie stało się tak. Ambasador poinformował mnie, że będzie to możliwe dopiero za tydzień. Nie bardzo rozumiałem, po co ta zwłoka, ale nie wypadało pytać. Sprawa wyjaśniła się dopiero po przyjeździe do mnie żony, która wybierała się do mnie w końcu listopada 1981r. Okazało się, że w tym czasie, który pokrywał się z moją wizytą w ambasadzie, w naszym mieszkaniu w Bydgoszczy odwiedziło ją dwóch smutnych panów, którzy wypytywali żonę o mnie. Myślę, że byli to funkcjonariusze, którym zlecono wywiad środowiskowy. Widocznie wywiad ten wypadł pozytywnie, bo z chwilą mojej kolejnej wizyty w ambasadzie zostałem ponownie poproszony do ambasadora, u którego w tym czasie przebywał jak się później dowiedziałem szef radiostacji. Zostałem poinformowany, że

wstęp do pomieszczeń szyfranta i radiostacji jest niemożliwy bez uzyskania specjalnej zgody. Robili dla mnie wyjątek powodowany zaistniałą sytuacją. Po udaniu się do pomieszczeń radiostacji jej szef chcąc sprawdzić moje umiejętności i znajomość alfabetu Morse'a posadził mnie przy stacji i kluczu telegraficznym i prosił o nadawanie tekstu otwartego (oczywiście nadawanie było tylko na generatorze i sygnały te nigdzie nie wychodziły). Nie wiedział tego, że praca na kluczu to moja specjalność i tego, że byłem instruktorem telegrafii w szkole specjalistów morskich. Po wysłuchaniu nadawania stwierdził, że uwierzył bez najmniejszych zastrzeżeń w moje umiejętności w tym zakresie. Wytłumaczył również, że sam jest tylko operatorem radiostacji i nie ma pojęcia o usuwaniu awarii, dlatego też każda możliwa pomoc będzie dla niego i ambasady niezwykle ważną sprawą. Wreszcie nadszedł czas na popatrzenie na stacje i wysłuchanie uwag o stanie nadajników. Piszę w liczbie mnogiej, bo faktycznie były to dwa panele nadajników i oba nie działające. Po dokładnym obejrzeniu stopni wyjściowych okazało się, że układy elektryczne są prawie taki same jak w moim nadajniku w domu. Pierwsze podejrzenie dotyczące uszkodzenia, to spalony opornik katodowy w lampie końcowej (miałem

podobny przypadek). Po sprawdzeniu okazało się, że miałem rację, bo opornik ten był przepalony. Po znalezieniu jednej usterki trzeba było sprawdzić, czy nie ma więcej takich przypadków w nadajniku i zastanowić się jaka mogła być tego przyczyna. Doszedłem do wniosku, że mogło to być wynikiem niewłaściwego strojenia stopnia końcowego. Z podobnymi przypadkami spotykałem się w swojej krótkofalarskiej praktyce. Można było przystąpić do wymiany uszkodzonego elementu. Części zamienne, były w wyposażeniu radiostacji. Wymiana opornika była kwestią minut. Po kolejnej dokładnej kontroli stopnia końcowego nie znalazłem żadnych innych usterek. Po wsadzeniu panelu w stojak przystąpiłem do włączenia nadajnika i wygrzania lamp. Po paru minutach poprosiłem szefa radiostacji o próbę nawiązania łączności. Nastąpiło olbrzymie zdziwienie. To już? Okazało się, że po pierwszym wysłaniu sygnałów Morse'a odpowiedziała ambasada w Damaszku, a za chwilę odezwała się Warszawa. Zauważyłem , że ten poważny starszy mężczyzna chce mnie uściskać. Przyhamowałem jego zapędy i wysunąłem podobny panel drugiego nadajnika. Okazało się , że jest tam podobna usterka. Lutownica w jedną rękę, cyna i opornik w drugą i za chwilę sprawa była załatwiona. Obydwa

nadajniki były już czynne. Zameldowano o tym ambasadorowi, który osobiści przybiegł na górę. Podziękowaniom nie było końca, poszliśmy na dół na kawę i koniak, a ja zebrałem kupę plusów za… krótkofalarstwo. Oczywiście musiałem wysłuchać wyjaśnień jaką olbrzymią przysługę zrobiłem ambasadzie itp. itd. Byłem trochę zażenowany, ale jednocześnie szczęśliwy, że mogłem to zrobić. Dalszy ciąg podziękowań był w mieszkaniu szefa radiostacji w randze pułkownika UB, który z radością opowiedział o swoich pobytach w rożnych bardzo ciekawych krajach świata. To wszystko było zakrapiane odpowiednią ilością alkoholu. Przede mną było 120 kilometrów jazdy do domu. Trochę oszukiwałem przy piciu, ale jednak trochę łyknąłem. Dalszy ciąg tej historii to bardzo serdeczny list z podziękowaniem od ambasadora. To nie wszystko. Na skutek jego interwencji zostałem powołany do Rady Budów przy Radcy Handlowym. Najdziwniejsze było to, że w tym składzie nie było szefów budów, a jedynie pracownicy biura radcy, a wśród nich byli wiceministrowie budownictwa z poprzednich składów rządów z Polski. Z chwilą mojego powołania wywołało to zdziwienie i zaciekawienie, kim jestem, skąd, dlaczego ? Widziałem , że jest to dla nich niezrozumiałe, a jeżeli już tam wśród

tego grona jestem, to jest to bardzo tajemnicza sprawa. Nie wyjaśniałem nikomu, dlaczego tam jestem i oznajmiłem, że jestem szefem budowy w Ramadi. Nie zaspokoiło to ich ciekawości, a ja nie rozwiewałem ich wątpliwości. Te dobre, od tego czasu stosunki z ambasadorem, bardzo pomagały mi w załatwianiu różnych spraw służbowych. W niedalekim czasie miałem na budowie odwiedziny ambasadora. Przyjechał na nasz Kamp z pełną pompą w obstawie irackich policjantów na motorach. Przyjąłem gościa z polska gościnnością, a nasi kucharze czekali, żeby popisać się swoimi umiejętnościami. Po obfitym posiłku pojechaliśmy moim samochodem na teren budowy, co też nie było normalne, bo zwykle tej rangi człowiek musiał przestrzegać protokołu dyplomatycznego i poruszać się swoim pojazdem z obstawą policyjną. Tym razem było inaczej i jak powiedział - „będzie nam znacznie wygodniej i będziemy mniej skrępowani przez osoby trzecie". Z jednej strony byłem tym podbudowany, ale jednocześnie czułem wielką osobistą odpowiedzialność. Po objeździe całego terenu i szczegółowym wyjaśnianiu technologii prowadzonych prac, wróciliśmy na Kamp. Wizyta była nad wyraz bardzo udana, a ja zbierałem kolejne plusy! A wszystko to przez krótkofalarstwo.

Wojaże turystyczne po Iraku

Pobyt w innym niż Polska kraju, zachęcał do poznania zarówno historii jak i zabytków. Polacy zatrudnieni w Iraku korzystając z wolnych piątków za zezwoleniem swoich kierownictw mogli organizować wycieczki korzystając z posiadanych środków lokomocji. Szczególnie taki kraj jak Irak zachęcał do poznawania bogatej historii jak i jego zabytków. Dużym zainteresowaniem cieszyły się muzea zawierające olbrzymie zasoby atrybutów dawnej historii tego kraju. Tereny dzisiejszego Iraku to miejsca, gdzie około 3500 lat przed naszą erą, rozwinęła się cywilizacja Sumerów, a później cywilizacje babilońskie i asyryjskie . Po podbojach Aleksandra Macedońskiego w latach 334-321 p.n.e. ziemie te powiększyły jego imperium. W VII wieku n.e. tereny te opanowali Arabowie i stanowiło to centrum arabskiego kalifatu. Od XVI wieku panowali tu Turcy walcząc o te ziemie z Persją, a w 1917 roku tereny obecnego Iraku zajęły wojska brytyjskie, ustanawiając od 1918 roku Irak, jako brytyjskie terytorium mandatowe.

W czasie bogatej historii tych terenów powstawało wiele dzisiejszych zabytków znanych

na całym świecie, a wiele jeszcze czeka na swoje odkrycie. Istnieje tu takie popularne powiedzenie, że wystarczy wziąć łopatę i zacząć rozkopywać wzgórki na pustyni, to można znaleźć coś ciekawego. Nie było to zbyt przesadzone, bo w trakcie wykonywanie robót na terenie naszego kontraktu odkryliśmy w czasie prac ziemnych cmentarzysko najprawdopodobniej z okresu sumeryjskiego. Musieliśmy przyhamować zapędy naszych rodzimych „archeologów" z budowy do prowadzenia indywidualnych wykopalisk. Muszę teraz przyznać, że nie zgłosiliśmy tego faktu nadzorowi arabskiemu, ze względu na terminy kontraktowe. Teren ponownie zasypano. Może ktoś następny pokusi się o odkopanie, a może i nie, bo tego typu wykopalisk było wiele i nie było żadnego zainteresowania tym miejscowych służb archeologicznych. Niejednokrotnie zwiedzając wiele odkrytych miejsc przyglądałem się sposobom prowadzenia wykopalisk przez ekipy różnych narodowości.

Najbardziej niepokojący był sposób iracki, np. na terenie Babilonu przy wykopaliskach pracowały koparki, co było sprzeczne z opisami wykopalisk prowadzonych np. przez Polaków, Niemców czy Anglików. Mała łopatka i pędzelek oraz sitka, a także przeglądanie każdej drobiny

Babilon - brama Isztar

Irena w Babilonie

piasku czy innego rodzaju gruntu, to był wzorzec odkrywcy. Jakoś wyraźnie koparka do tego nie pasowała. Tereny tych odkryć też nie podlegały jakiejś ścisłej kontroli. Najlepszym dowodem tego była budowa jednego z pałaców panującego Saddama Husseina, na terenie wykopalisk Babilonu.

Babilon, jako pierwsze miejsce do zwiedzania wykopalisk przyciągał również wycieczki Polaków i stanowił miejsce, które wypadało zaliczyć. Rożne delegacje wizytujące budowy przywożono do tego miejsca, aby nacieszyli się stąpaniem po ziemi, która przypominała o historii tych miejsc. Powiedzenie - „być w Iraku i nie zobaczyć Babilonu to zasadniczy i nie wybaczalny błąd" - miało swoje uzasadnienie. Sam również przywoziłem do Babilonu członków delegacji odwiedzających budowę. Głównymi punktami zwiedzania była zrekonstruowana brama Isztar, której oryginał znajduje się w Berlińskim Pergamon Muzeum, następnie świątynia Marduka, mury obronne, kompleks pałacowy z miejscem gdzie zlokalizowane były słynne wiszące ogrody Semiramidy i model zigurratu kojarzonego z biblijną wieżą Babel. Oczywiście obowiązkowy był pobyt w miejscowym muzeum, gdzie honorowe miejsce zajmuje wyryty w

czarnym kamieniu kodeks Hammurabiego. Jest tych zabytków tyle, że nie wiadomo, co najpierw oglądać. Przejście drogą procesyjną, której wysokie murowane ściany pokryte są płaskorzeźbami stylizowanych lwów i innych zwierząt, do rzeźby lwa babilońskiego można było uznać za pierwsze spotkanie z wiekami. Wracało się tam wielokrotnie, bo za każdym razem widziało się coś nowego. Przebywanie w miejscu gdzie rozpoczynała się historia i gdzie istniało największe miasto ówczesnego świata, uszlachetniało człowieka. W tamtych czasach było to miasto o populacji, powyżej 200 tys. ludzi, wyprzedzające Teby i Niniwę.

Ustalenie kolejności zwiedzania ciekawych miejsc w Iraku jest wyjątkowo trudne. Wszędzie jest wiele zabytków. Dlatego też będę je opisywał w zupełnie dowolnej kolejności, tak jak dyktuje mi pamięć. Nie będzie to przewodnik turystyczny, bo trudno wyobrazić sobie, że turystyka szybko pojawi się w Iraku. Istniejące warunki polityczne zarówno w okresie, kiedy tam przebywałem jak i obecnie, nie przemawiają za tym. Turystyka na krawędzi ryzykowania życiem w tym kraju nie jest polecana.

Kolejnym miejscem, które warto było zobaczyć to Hatra położona w północnej części

Iraku. Jest to starożytne miasto Mezopotamii około 50 km. od miejscowości Aszur. Miasto zostało założone na szlaku łączącym Mezopotamię z Syrią. Była to twierdza nie do zdobycia, jak opisywano to w starożytnych kronikach. Otoczona była dwoma liniami murów obronnych z wbudowanymi wieżami. Mury zewnętrzne o długości 16 km świadczyły o wielkości miasta. W czasie prowadzonych wykopalisk odkryto dobrze zachowane pozostałości pałacu z doskonale zachowanymi wspaniałymi ozdobami, oraz ruiny świątyń i sanktuariów. W czasie największego rozkwitu miasto słynęło w świecie starożytnym jako ośrodek religijny wielu kultur: greckiej , syryjskiej , przed islamskiej , arabskiej, sumeryjskiej i babilońskiej. W miejscu istnienia tego miasta spotyka się odkryte fragmenty murów, doskonale zachowane fragmenty świątyń posągów i płaskorzeźb. Robi to wszystko ogromne wrażenie i zachowuje się na długo w pamięci. Jadąc dalej na północ warto odwiedzić Mosul z krzywym minaretem na wzór krzywej wieży w Pizie we Włoszech. Kolejne starożytne miasto północnej Mezopotamii położone przy lewym brzegu rzeki Tygrys to Niniwa. Była to jedna ze stolic Asyrii. Najstarsze ślady osadnictwa na tym terenie sięgały VI tysiąclecia p.n.e. Ślady miasta

datowane są na III tysiąclecie p.n.e. Miasto otoczone było murami obronnymi długości 12 km. Na tym terenie wybudowano wspaniałe, jak na te czasy, pałace bogato zdobione płaskorzeźbami. Istniała też biblioteka stanowiąca w czasie odkryć archeologicznych źródło zapisków historycznych Asyrii i Mezopotamii. Znaleziony olbrzymi zbiór tabliczek zapisanych pismem klinowym zainspirował odkrywców do ich odczytania, a w efekcie do dalszych poszukiwań. W czasie zwiedzania tego terenu można zobaczyć fragmenty murów, zrekonstruowane bramy miejskie i fragmenty pałacu i świątyń. Wiele ciekawych fragmentów wykopalisk to posągi i płaskorzeźby znajdujące się w lokalnym muzeum. Znajdowane na ziemi fragmenty glinianych tabliczek z pismem klinowym były „pamiątkami" z tych miejsc zabieranymi przez zwiedzających.

Wracaliśmy z wycieczki pełni wrażeń i świadomi, że miejsca, w których byliśmy to historia sięgająca ponad 5 tysięcy lat wstecz. W miejscach tych żyli ludzie z wyglądu podobni do nas, ale o innej kulturze, wierze i zwyczajach. Może warunki życia były inne, ale wierzę w to, że tak samo istniały kiedyś między nimi przyjaźnie i uczucia wrogości.

Minaret spiralny w Samarze

Oglądając to wszystko, czyli rzeźby, mury, czy tabliczki pisane pismem klinowym, wiemy na pewno, że działania naszych poprzedników były w pełni przemyślane i zawierały również zasób wiedzy, który czasem nas zadziwia. To tylko na chwilę odskocznia od rzeczywistości.

Przed nami kolejne bardzo ciekawe miejsce – Samara. Zwiedzali je niejednokrotnie nasi koledzy z pobliskiej budowy. Realizowali oni identyczne roboty, co my w Ramadi, tylko w mniejszym zakresie. W samym mieście jest piękny meczet z olbrzymią złotą kopułą widoczną z dużej odległości od miasta. Świątynię niestety można oglądać jedynie z zewnątrz. Żaden obiekt religijny w Iraku nie jest dostępny do zwiedzania. Mogą tam wchodzić jedynie wyznawcy islamu. Cieszą oko elementy wykończeniowe murów budowli oraz bogate portale. Meczet w Samarze wyróżniał się kolorem niebieskich płytek pokrywających elewacje murów. Najbardziej znanym zabytkiem są ruiny Wielkiego Meczetu z IX wieku z charakterystycznym minaretem spiralnym. Drugi podobny minaret mieści się w niedalekiej odległości od opisywanego powyżej. Jest on mniejszy i mieści się na terenie ruin meczetu starszego od istniejącego. Samara jest świętym miastem i miejscem licznych pielgrzymek

wyznawców islamu.

W drodze na południe jadąc przez Karbalę i Nadżaf warto obejrzeć piękne meczety bogato zdobione, będące miejscami pielgrzymek wyznawców islamu, szczególnie szyitów. Oba te miasta są szczególnie znane ze świętych miejsc. W Nadżaf znajduje się grobowiec Alego spokrewnionego z Mahometem. Informację o tym skrzętnie ukrywano przed zbezczeszczeniem przez Omajjadów. Przypadkowo odkryto ten grób w 791r. Lata 1968 do 1978 to okres pobytu w Nadżaf Ajatollaha Chomeiniego przed objęciem przez Niego władzy po rewolucji irańskiej. Dalsza droga do miejsca biblijnego raju wiedzie do miejscowości Qurnah - miejsca, w którym obydwie rzeki Iraku Tygrys i Eufrat łączą się w jedną, rozpoczynając swój bieg już jako Shatt El Arab. Miejsce to znane jest też pod nazwą „Garden of Eden" gdzie znajdowało się drzewo Adama, miejsce powstania ludzkości, atrakcyjne dla chrześcijan, żydów i muzułmanów. Na ogrodzonym terenie znajduje się tablica przypominająca , że jest to miejsce gdzie powstała ludzkość. W przezroczystym pojemniku znajduje się pień drzewa eukaliptusa nazwany drzewem Adama. Coś tu jednak chyba nie gra, bo o ile dobrze pamiętam, to chyba na tym drzewie rosły

jabłka, którym to owocem Ewa skusiła Adama? Miało to być chyba jak zapisano w Biblii - Drzewo Poznania Dobra i Zła. Najprawdopodobniej jest to tylko symboliczne pokazanie charakteru tej pamiątki. Jest to oczywiście miejsce zdjęć upamiętniających pobyt w Raju. Na tablicy zacytowano słowa Abrahama o miejscu położenia Raju, a raczej Ogrodu Rozkoszy jak nawiązują do tego określenia mezopotamskie mity. Lokalizacja Raju też jest bardzo dyskusyjna. Jednak najbardziej prawdopodobna lokalizacja to właśnie miejsce w którym jesteśmy. Jak mówi Księga Rodzaju z ogrodu (Raju) wypływała rzeka dzieląc się na cztery odnogi, a dwie z nich to dzisiejszy Eufrat i Tygrys. Nie będę jednak dociekał dalej kto w tym przypadku miał rację ,a ja cieszę się faktem, że byłem wraz z moją żoną w biblijnym Raju. Powyższe udokumentowałem zdjęciami przy omawianej tablicy. Z Qurny rozpoczynali swoje wyprawy na tratwach zrobionych z trzciny i papirusu znani żeglarze przepływający morza i udowadniający przydatność tego materiału do żeglugi. Między innymi wypływał z tego miejsca znany norweski podróżnik Thor Heyerdahl, który na tratwie „Tygrys" zbudowanej z trzciny wyruszył w podróż dla udowodnienia możliwości komunikacji między cywilizacjami Mezopotamii

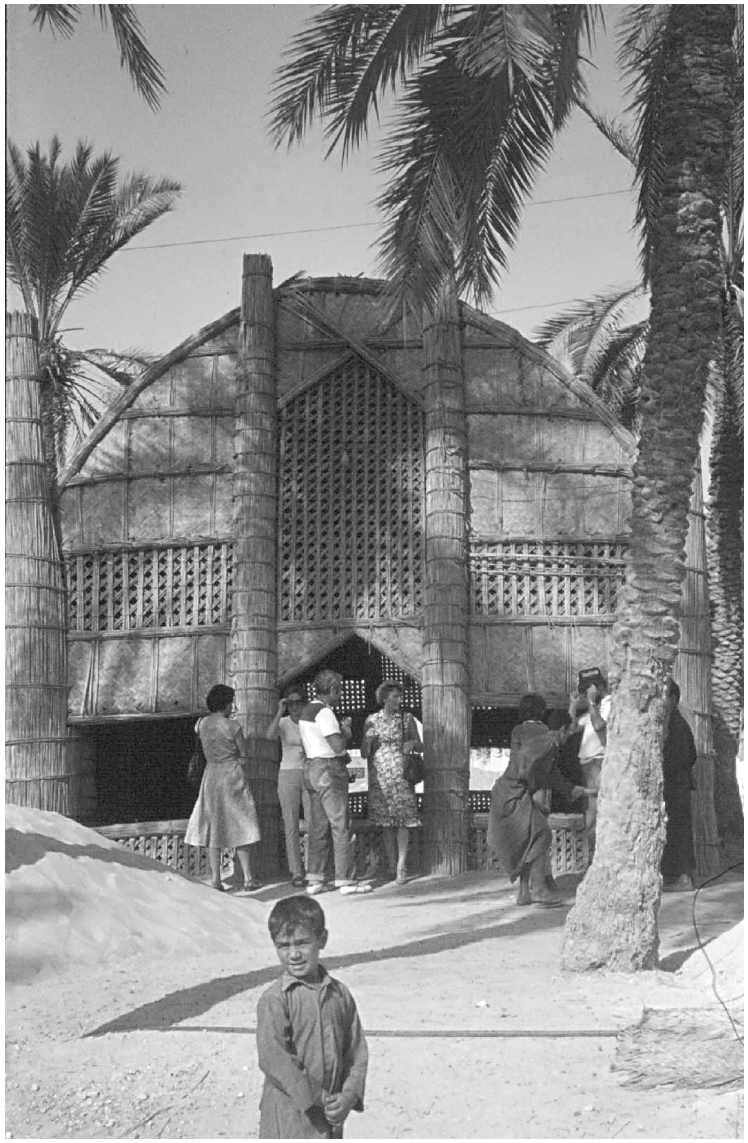

Domy Arabów Błotnych

i Indusu.W miejscu rozpoczęcia biegu Shatt El Arab wybudowano dla turystów hotel z restauracją o nazwie EDEN przypominającym ewentualnym turystom o miejscu, w którym się znajdują. Shatt El Arab toczy swe wody na długości blisko 200 km, a w swym dolnym biegu wyznacza granicę pomiędzy Irakiem i Iranem. Tam też położony jest główny port Iraku w miejscowości Basra. W czasie działań wojennych port ten został zamknięty, a w jego akwenie zablokowano wiele statków handlowych, w tym również polskich.

Przykładowo przedstawiłem tylko kilka miejsc, które warto było zobaczyć i zainteresować się ich historią. Ja to robiłem w większości indywidualnie, bądź w towarzystwie kolegów, z którymi organizowałem wspólne wypady. Umożliwiałem również organizację takich wycieczek załogom w dni wolne od pracy. Wiele osób z tych możliwości korzystało. Ci, którzy nie mających „zacięcia" turystycznego, wybierali się na ryby. To też było przyjemne i urozmaicało nam codzienny posiłek.

W czasie mojego trzyletniego pobytu w Iraku poznałem dosyć dobrze ten kraj, pełen światowej klasy zabytków, kontrastów i trudnych warunków życia ludzi. System policyjnej kontroli obywateli też odciskał swoje piętno na ich życiu . To kraj, w

którym każdy śledził każdego. Ludzie jakoś się do tego przystosowywali, tak jak polska załoga, która wiedziała o tym, że wśród zatrudnionych u nas Arabów znajdowali się tacy, którzy składali sprawozdania do swych policyjnych opiekunów o życiu Polaków na Kampie. Najlepszym dowodem takiego postępowania byli nasi tłumacze, którzy też byli na usługach policji. Nie robili tego z chęcią, ale musieli to robić. Często przychodzili do mnie i pytali, co mają napisać. Uzgadnialiśmy donosy, żeby wszyscy byli zadowoleni . Wśród tych tłumaczy miałem jednego Kurda, który jako pierwszy przyznał się do tych działań, ale jak tłumaczył mi nie miał wyjścia. Znając działania policji w stosunku do Kurdów bardzo dobrze rozumiałem takie postępowanie. Kurdowie jako mniejszość narodowa, zamieszkiwała głównie północną górzystą część Iraku dążąc do ustanowienia swego własnego kraju. Wszelkie działania w tym kierunku były przez reżim Saddama Husseina krwawo tłumione. Znany był fakt użycia gazów bojowych do likwidacji jednej z wiosek. Grupy Kurdów wykazujących nadmierną aktywność były wysiedlane na południe Iraku, a w ich miejsce zasiedlano wioski przez Arabów. Podobne ruchy wolnościowe występowały w krajach sąsiednich, Syrii, Turcji i Iranie. Niestety

wszędzie kończyło się to w najlepszym przypadku na obietnicach powstania Kurdystanu.

Arabowie Błotni

Z żoną w „Raju”

Codzienne życie wśród Arabów

Sytuacja w jakiej znaleźliśmy się zmuszała nas do poznania środowiska naszych gospodarzy i ich obyczajów. Nie była to sprawa prosta, ponieważ nawiązanie bliższych kontaktów wymagało woli obu stron. Na początku była wzajemna obserwacja. Po jakimś czasie były próby odwiedzin rodzin zamieszkałych na terenie objętym kontraktem, bądź w jego pobliżu. Arabowie są ludźmi bardzo otwartymi, jednak zaproszenie kogoś mało znanego, to zupełnie inna sprawa. Tak jak my obserwowaliśmy ich, tak i oni nas. Wiedziałem już że w kontaktach osobistych obrażenie kogoś z jakiejś przyczyny, było bardzo źle odbierane. Zatarcie tego zdarzenia było wyjątkowo trudne. Pierwszy krok zrobiłem na terenie naszej budowy kiedy przejeżdżając po nasypie zostałem zatrzymany przez jednego z naszych dozorców i zaproszony do jego domu na herbatę. Odmowa mogła być traktowana jako obraza, więc z chęcią przyjąłem to zaproszenie. Zgodnie z obowiązującą zasadą zaproszono mnie do pokoju przeznaczonego na jadalnię, bądź jako pokój przyjęć gości. Siedzieliśmy w czwórkę tj. ja jako gość i trzech mężczyzn, z których tylko

znałem z widzenia naszego dozorcę –gospodarza tego domu. Rozpoczęły się zwyczajowe rozmowy o wszystkim i o niczym, oczywiście przy herbacie. Herbata zaparzana była w metalowych czajniczkach, w których znajduje się pojemnik na herbatę wsypywaną w dużych ilościach i dwukrotnie doprowadzaną do momentu wrzenia. Całą sztuką w dobrym zaparzeniu jest właśnie przerwanie parzenia z chwilą rozpoczęcia wrzenia. Herbata jest w efekcie bardzo mocna. Bardziej jest esencją niż herbatą, do której przyzwyczajeni są Europejczycy. Nalewana jest do małych szklaneczek zwanych przez nas „czajówkami" o pojemności 100 ml. Wsypuje się dużą łyżkę cukru i po dwa, trzy ziarenka kardamonu. Tak jak mówili Arabowie wypicie 3 do 5 takich szklaneczek mógł tylko "chłop". Faktycznie już po dwóch człowiek odczuwał podniecenie, ale nie było to takie złe. Taka „herbatka" trwała około godziny i po tym czasie można było zacząć się żegnać. Tak też zrobiłem zadowolony , że pierwszy kontakt mam już za sobą. Zwykle w Europie taka forma zapraszania szefa wiąże się z chęcią załatwienia jakiejś sprawy. Tak też na początku odbierałem ten gest. Byłem zdziwiony kiedy żadna prośba załatwienia czegoś nie wystąpiła. Zwykle chodziło o dowiezienie cysterny wody dla

podlania drzewek pomarańczy. Były takie próby ze strony pracowników arabskich rozpoznania jak zostanie to przeze mnie odebrane. Z chwilą kiedy przyjechała do mnie w odwiedziny żona, któregoś dnia przyszła do mnie delegacja pracowników arabskich zatrudnionych w naszej betoniarni z zaproszeniem nas obojga do domu jednego z nich na obiad . W takim przypadku wypadało wziąć ze sobą jakiś prezent. Wybrałem coś z wyrobów ludowych przywiezionych z kraju. Po przyjeździe zaproszono nas do dużego pokoju w którym wokół ścian na podłodze położone były materace i małe poduszki, a po środku na podłodze ułożony był „obrus" czyli materiał na podłożu nieprzemakalnym . Na początku chciano uhonorować moją żonę przez podanie jej krzesła na którym miała by siedzieć jako jedyna osoba w tym gronie. Oczywiście podziękowała za to, bo jedzenie w tej pozycji byłoby wysoce utrudnione, zważywszy że stół był podłogą. Było nas około 8 osób. Sami mężczyźni, za wyjątkiem mojej żony. Nie jest przyjęte, żeby kobiety arabskie były na takim przyjęciu razem z mężczyznami. Kobiety jedynie donosiły jedzenie do drzwi, a stamtąd odbierał je już gospodarz.

Sposób jedzenia potraw też wymaga znajomości rzeczy. Uprzedzono mnie o tym

i poinformowałem również o szczegółach żonę. Najpierw na dużej tacy o średnicy około metra podano ugotowany ryż. Na drugiej tacy podobnej do poprzedniej, znajdowały się połówki pieczonych kurczaków w ilości odpowiadającej ilości osób licząc, że każdy z obecnych zje całego kurczaka. Na dużych głębokich talerzach podano sosy na bazie pomidorów doprawionych chyba ostrą papryką. W sumie było to bardzo smaczne danie. Dla zapełnienia „stołu" przed każdym położono khobzun (podpłomyk), który służył zarówno jako serwetki, ale głównie jako materiał pomocniczy do jedzenia sosu. Łyżeczkę tworzono odrywając kawałek kobzy i odpowiednio ją zwijając. Podpatrywaliśmy jak to robią Arabowie. Przed rozpoczęciem jedzenia, dwóch synów gospodarza przyniosło miskę, mydło i dzbanek z wodą. Podchodząc do każdego umożliwiali umycie rąk przed jedzeniem. Samo jedzenie zaczęło się z chwilą rozłożenia przez gospodarza przed każdym całego kurczaka. Ryż nabierało się rękoma ze wspólnej tacy ugniatając kulkę i wkładając ją do ust. Zagryzało się kawałkiem mięsa kurczaka. Odrywało się co lepsze kąski, pamiętając o tym, że następne w kolejności do jedzenia tego kurczaka będą dzieci, a po dzieciach kobiety. Taka jest hierarchia

spożywania posiłków, z tą tylko różnicą że dzieci mogą jeść w miejscu gdzie jedzą mężczyźni, a kobiety niestety jedzą gdzie indziej. Tak też było i w naszym przypadku. Jedliśmy tylko kawałki piersi i udek kurczaka, reszta pozostała dla kolejnych ucztujących. Przyglądając się apetytowi dzieci, miałem poważne obawy czy kobietom coś zostało do przegryzienia za wyjątkiem oczywiście kości, na które czekały już psy. Obiad trwał dosyć długo, bo w dobrym tonie wypadało prowadzić rozmowę. Po zasadniczym posiłku do obowiązkowych należała herbata. Wreszcie udało się zakończyć wizytę i po pożegnaniu zebranych i podziękowaniu za przyjęcie wyjechaliśmy do domu. Muszę wyjaśnić tu nazwę „khobzun". Jest to bardzo popularny w krajach arabskich placek podobny do polskiego podpłomyka, a zastępujący chleb. Wytwarzany w każdym gospodarstwie wykonany jest z mieszaniny mąki z wodą, czasem dodaje się olej i sól. Kulka ciasta jest rozklepywana i podrzucana tak żeby utworzyć placek o średnicy około 30 cm. Placki te przykleja się do ścian wygrzanego pieca glinianego ustawionego na zewnątrz pomieszczeń. Piec jest zwykle ogrzewany wysuszonym łajnem wielbłądów, a w najlepszym razie, cudem zdobytymi kawałkami drewna. Pomimo stosowania tego rodzaju paliwa

zapach nie przechodzi na placki czy kurczaki.

Zupełnie inny charakter miało zaproszenie mnie i kilku osób z kierownictwa na wesele jednego z naszych arabskich pracowników. Przyjęcia tego typu nie były zupełnie przez nas rozeznane. Musieliśmy postępować głównie pod dyktando gospodarza oraz jednego z naszych tłumaczy. Jak wyglądał sam ślub nie potrafię opisać, ponieważ na samą ceremonię nie byliśmy zaproszeni. Przypuszczam, że polega to na zawarciu obustronnego kontraktu, ale za mało na ten temat udało mi się dowiedzieć. Po przyjeździe do miejsca zamieszkania mężczyzny, przyjął nas ojciec Pana Młodego. Przyniesiono ławki i stół przy którym mieliśmy siedzieć i gdzie podano nam posiłek weselny. Przed rozpoczęciem posiłku zaproszono nas do ich własnych samochodów, które dopełniono gośćmi weselnymi. Cały tabun aut ruszył w trasę wokół Ramadi. Na czele jechał samochód z młodymi, a w pozostałych jechali goście weselni. Zgodnie z tradycją z okien samochodów wystawały lufy pistoletów maszynowych, z których przez cały czas przejazdu oddawano salwy na wiwat. Każdy Arab z chwilą wybuchu wojny otrzymał broń z amunicją, Przeważnie były to pistolety maszynowe AK. Broń otrzymywała też młodzież. Od którego

roku życia nie pytałem, ale byli to naprawdę młodzi chłopcy. Wszyscy nie będący w wojsku stanowili gwardię narodową zorganizowaną na zasadzie pospolitego ruszenia. Po objeździe miasta wszystkie samochody dotarły do domu weselnego, w którym już trwały przygotowania do przyjęcia. Wszystko odbywało się na placu przy domu. Na początek wystąpił miejscowy Imam, który rozpoczął modlitwę w której brali udział zgromadzeni goście, poza nami, którzy nie wyznawali Islamu. Po zakończeniu modlitwy przyniesiono stół przy którym usiadł Imam, ale jak okazało się w konkretnym celu. Ojciec gospodarza domu przyniósł swojego syna w wieku około 10-12 lat i położył go na stole przy którym siedział duchowny. Czekaliśmy co będzie dalej. Okazało się że jednym z punktów obrzędu weselnego był akt obrzezania tego młodego chłopca. Imam przygotował się do tego rozkładając na stole specjalne nożyki do usunięcia napletka, oraz jakiś płyn, chyba dezynfekujący i bandaż. Sam zabieg przebiegł szybko i jak sądzę względnie bezboleśnie, bo chłopak za mocno nie krzyczał. Po zabiegu i oblaniu ran płynem, prącie zostało obandażowane i było po wszystkim. Chłopiec niesiony przez ojca pokazywany był wszystkim gościom i jak opowiadał nasz tłumacz ogłoszono

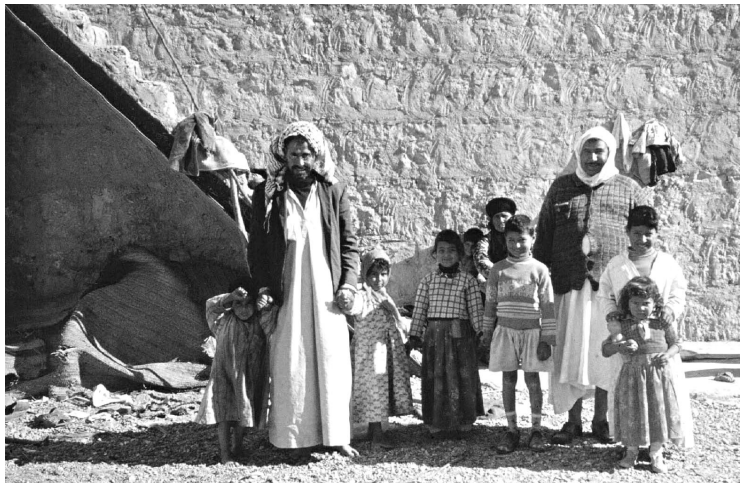

Cała rodzina przyszła zapraszać na wesele

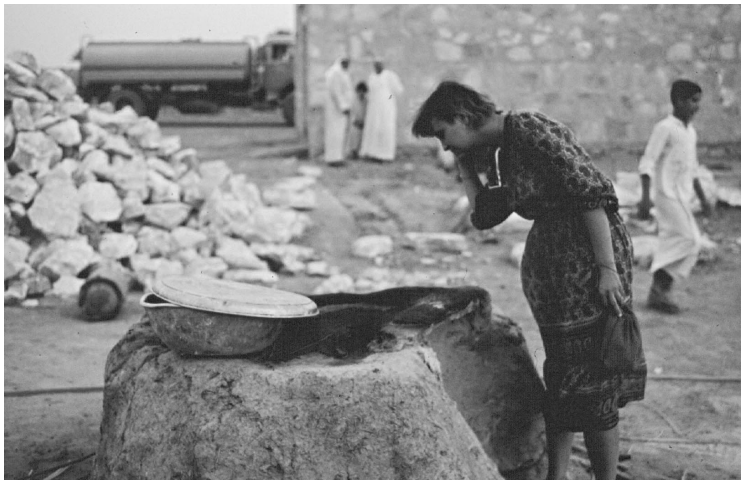

Jola przed tradycyjnym piecem

oficjalnie, że stał się mężczyzną. Tego punktu programu oczywiście nikt z nas nie spodziewał się, ale z ciekawością przyglądaliśmy się temu aktowi rozpoczęcia życia jako mężczyzny. Dalszy ciąg przyjęcia polegał na konsumpcji podawanych potraw. Jako jedyni siedzieliśmy przy stole. Pozostali siedzieli na ziemi, a przed nimi ustawiano duże okrągłe tace na których układano ryż i kawałki mięsa baraniego. Na odrębnych tacach leżały upieczone kurczaki, a obok były różnego rodzaju sosy. Same dania okazały się bardzo smaczne, a rytuał jedzenia w większości z nas był już ugruntowany. Jako jedyni zostaliśmy również zaopatrzeni w szklanki i butelki Whisky. Był to czerwony Johny Walker. Butelki doniósł gospodarz. Trochę dziwnie było nam pić alkohol, kiedy wszyscy inni tego nie robili. Dlatego też napiliśmy się jedynie symbolicznie. Wesele trwało do późnych godzin wieczornych. Cieszyliśmy się z udziału w tych uroczystościach, bo było to coś zupełnie innego niż w Polsce i dało możliwość porównania takich uroczystości u nas w kraju i tu w Iraku. W tym kraju nie pije się wcale wódki pomimo, że prohibicji nie ma. U nas nie można by wyobrazić sobie takiego przyjęcia bez odpowiedniej ilości butelek tego ognistego płynu. Co kraj to obyczaj. Na zakończenie

naszego pobytu na weselu zostałem poproszony przez ojca rodu do odwiedzenia nowożeńców w ich pokoju. Zaproszenie to było wyraźnym wyróżnieniem mojej osoby, ponieważ nie jest tam przyjęte, aby ktokolwiek z gości mógł to uczynić. Młodzi małżonkowie siedzieli na łóżku, a ojciec opowiadał jaki był posag demonstrując wszystkie otrzymane prezenty - głównie były to wyroby ze złota. Jest przyjęte, że młody małżonek ma obowiązek zapłacenia za żonę. Zwykle były to wyroby jubilerskie, które młoda małżonka w czasie ceremonii zaślubin miała na sobie, aby pokazać jaka była jej wynegocjowana wartość. Wieszano te ozdoby na szyi, rękach i kostkach nóg. Po tych odwiedzinach i podziękowaniu za zaproszenie wróciliśmy na Kamp. Inne były przyjęcia, które organizował w swoim domu szef inspektorów nadzoru. Na naszym kontrakcie przewinęło się ich kilku. Byli wśród nich Egipcjanie, Hindusi i Arabowie - wszyscy po pokończonych studiach na wyższych uczelniach w swoich krajach, a także na uczelniach angielskich. Każdy z nich odpowiadał za określony rodzaj robót. Jeżeli chodzi o ich znajomość zawodu, to niestety była ona bardzo różna, a najczęściej wyjątkowo niska. Usiłowali być bardzo drobiazgowi, ale nie znali podstawowych przyrządów ułatwiających

pracę np. planimetru służącego do pomiaru powierzchni. Stanowił on dla niektórych z nich czarną magię. Przykładem tego były pomiary powierzchni dokonywane przez jednego z inspektorów narodowości egipskiej. Dokonywał on pomiaru dzieląc powierzchnię na trójkąty, bo jego wiedza zamykała się na wzorze na powierzchnię trójkąta. Jest to mało wiarogodne, ale tak faktycznie było.

Chcę opisać przyjęcie na które zaprosił mnie z moimi zastępcami Atalla pełniący funkcję szefa inspektorów nadzoru z ramienia biura Rezydenta Kontraktu. Pojechaliśmy do jego domu w którym mieszkał wraz z rodziną. Jak dużą nie potrafię powiedzieć, bo nie dane nam było ją zobaczyć. Zaskoczeniem było przygotowanie całego posiłku na stołach, przy których ustawione były krzesła. Stół zastawiony był dużą ilością rożnych potraw, a wśród nich bardzo dobrych gołąbków zawijanych w liście winogron z ostrym nadzieniem z mięsa wołowego z ryżem. Oczywiście były nieodzowne pieczone kurczaki, duże ilości rożnych sałatek i sosów oraz jakieś kulki z mięsa w formie szaszłyków. Urozmaiceniem była smażona lucerna. Całość przygotowano na wzór europejski. Widać, że Atalla kończył studia w Anglii i to odcisnęło na nim widoczny ślad. W sumie wszystko było

bardzo smaczne, a same odwiedziny bardzo przyjazne. Takich bezpośrednich kontaktów było sporo ze strony arabskiej. W rewanżu chcieliśmy zaprosić niektórych inżynierów z Biura Rezydenta , ale wytłumaczono nam, że jest to niepotrzebne. Oni nie mogliby do nas przyjść, bo mogło to być to źle widziane przez ich zwierzchników i policję, do której dotarłyby takie wiadomości. Jedyny przypadek odwiedzin Arabów w domu zamieszkałym przez Polaków, to wizyta u mnie, złożona mi przez właściciela posesji. Z chwilą przyjazdu do Iraku mojej żony, złożył nam wieczorem odwiedziny przynosząc pysznie przygotowane gołąbki ze znanym już z poprzednich wizyt farszem. Było to wyjątkowo smaczne danie. Po raz drugi odwiedził mnie arabski adwokat, który współpracował ze Staszkiem, moim poprzednikiem. Nie przeszkadzała mu nieobecność Staszka. Posiedział ponad godzinę, opowiadając między innymi o swoich pobytach w Polsce. Z tego co mówił wynikało, że odwiedzał Polskę głownie ze względu na kobiety lekkich obyczajów i możliwość taniego popicia. Poznał więc jedynie lotnisko w Warszawie i drogę do jakiegoś pensjonatu w pobliżu stolicy. Przebywał tam trzykrotnie po dwa tygodnie. Wyraźnie trening w piciu miał dobry, bo kiedy poczęstowałem go

czystym spirytusem , wypił bez żadnych sensacji. Nie był to jedyny kieliszek, który tego wieczora wypiliśmy. Przy pożegnaniu zaprosił mnie z moimi dziećmi , które w tym czasie były u mnie w odwiedzinach, oraz całą kadrą techniczną budowy do miejscowej restauracji. Przyjęcie ze względu na Ramadan miało rozpocząć się o godzinie 20.00. Nie pamiętam w tej chwili jaki to był dzień tygodnia , ale na ustaloną godzinę zjechała się zaproszona kadra. U wejścia do ogrodu przy restauracji czekał nasz adwokat i rozprowadzał na ustalone przez siebie miejsca. Było nas wtedy około 20 osób. Wszyscy ciekawi byli jak to będzie zorganizowane. Sadzano po cztery osoby przy stolikach na których już wywoławczo postawiono po 4 butelki whisky. Szykowała się więc niezła popijawa. Obok ustawionych stolików na 2 stołach przygotowywano pieczone barany. Trzeba przyznać, że Arabowie robią to dobrze i ma on wyśmienity smak. W Polsce baranina zawsze kojarzyła mi się z niezbyt przyjemnym zapachem. Tutaj absolutnie nie czuło się charakterystycznej woni. Przyczyną tego była zupełnie inna rasa tych zwierząt. Tłuszcz, który powodował ten nieprzyjemny zapaszek nie przerastał mięsa, a lokował się w ogonie barana tworząc płaski pojemnik na tłuszcz. Nawiasem mówiąc, taki

pieczony ogon należał do arabskich przysmaków, podobnie jak oczy i jądra. W czasie takiej uczty było przyjęte, że gospodarz własnymi rękoma karmił bardziej znamienitych gości, wybierając specjalne kąski.

W końcu do wszystkiego można się przyzwyczaić i połykać to, co zostało wybrane przez gospodarza, szczególnie po alkoholu. Tym razem musiałem skonsumować obydwa baranie jądra, które okazały się zupełnie smaczne. Pozostałe części już sam jadłem, omijając jednak ogon i oczy. Zagryzałem niezłymi sałatkami w których dominowała ostra papryka. Whisky uzupełniała smakowitą kolację. Baranina miała większe powodzenie niż kurczaki i szybko znikała ze stołów. Uczta wieczorna udała się znakomicie. Wszyscy byli zadowoleni, a nasz sponsor dumny, że trafił w gusty Polaków. Ja martwiłem się jak nasza ekipa trafi na Kamp, dość mocno podpita. Do mojego domu nie było daleko i przejazd niczym nie był utrudniony. Gorsza była sprawa z kadrą techniczną,która musiała przejechać przez most na Eufracie. Na drugi dzień opowiadali jak dojechali. Mieli problem z mostem, bo nie wiedzieli którym jechać prawym czy lewym? Podkreślam ten fakt, bo był tam tylko jeden most! Raz w roku takie głupstwa były dopuszczalne i najważniejsze było,

że wszyscy dotarli bez problemu do domów.

Tego typu spotkań z Arabami nie było w sumie tak dużo pomijając fakt, że po każdym odbiorze kompleksu robót na kontrakcie (były ich cztery) był obowiązek zorganizowania uroczystego obiadu dla Komisji Odbioru, w której zwykle brał udział minister bądź wiceminister i kadra techniczna budowy. Oczywiście głównym daniem powinien być pieczony baran wraz z różnego rodzaju przystawkami. Organizowaliśmy to w hotelu w którym była niezła restauracja. Tego typu spotkania poodbiorowe zwykle miały podobny program: dobre jedzenie, troszkę dobrego alkoholu i typowe pogawędki. Nie lubiłem tego typu spotkań, gdyż ze względu na wysoko postawionych gości wszyscy musieli trzymać fason. Po zakończeniu poczęstunku zwykle goście szybko się żegnali i odjeżdżali do Bagdadu, a miejscowi do domów. Przy pożegnaniu zwykle zapraszaliśmy na kolejne przyjęcie przy następnych odbiorach. Jedynym urozmaiceniem takich spotkań było znowu pytanie, czym dzisiaj zostanę nakarmiony przez najwyższego rangą gościa z Ministerstwa. Jądrem baranim (niezłe), czy pieczonym ogonem (za tłuste), czy też okiem. Nie wiem jaki ono miało smak. Raz miałem wątpliwą przyjemność zjedzenia go, ale

szybko przełknąłem nie czując żadnego smaku. Nie rozumiem co oni w tym widzą, bo mięso pieczonego barana ma tyle smakowitych kęsków!\ Analizując te wszystkie przyjęcia ,czytelnika na pewno zastanowił fakt braku informacji na temat deserów.W żadnym przypadku nie spotkałem się z podaniem jakichkolwiek ciast,bądż innego rodzaju deserów.Raz jedyny, w czasie spaceru z żoną po Ramadi trafiliśmy na cukiernię ,która na wystawie kusiła ładnie wyglądającymi ciastkami. Nie mogłem odmówić żonie chęci spróbowania tych wyrobów cukierniczych.Kupione pięć ciastek zanieśliśmy do domu aby tam po obiedzie zrobić sobie słodką ucztę.Po chwili okazało się że jadły tylko oczy bo po zjedzeniu z trudem po jednej sztuce , mieliśmy absolutnie dosyć. Coś bardziej słodkiego trudno sobie wyobrazić. Nie dość ,że było bardzo słodkie ciasto ,jeszcze bardziej slodki krem .a to wszystko oblane było miodem.Tym faktem zakończyliśmy próby chęci zjedzenia czegoś słodkiego i temat deserów nigdy nie wracał przy ustalaniu menu planowanego przyjęcia.

Tyle wrażeń ze spotkań bezpośrednich z lokalnymi gospodarzami. Częściej miałem okazję być proszony przez lokalnych farmerów na herbatę lub kawę w czasie kontroli robót na kontrakcie.

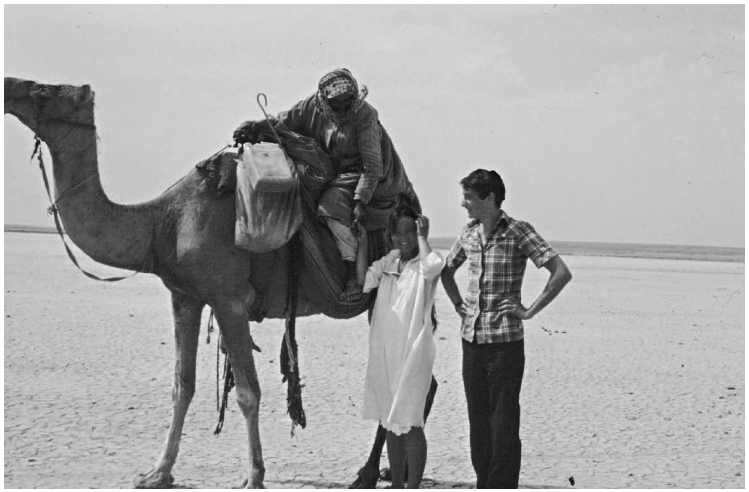

Jola i Jacek z Arabem spotkanym na pustyni

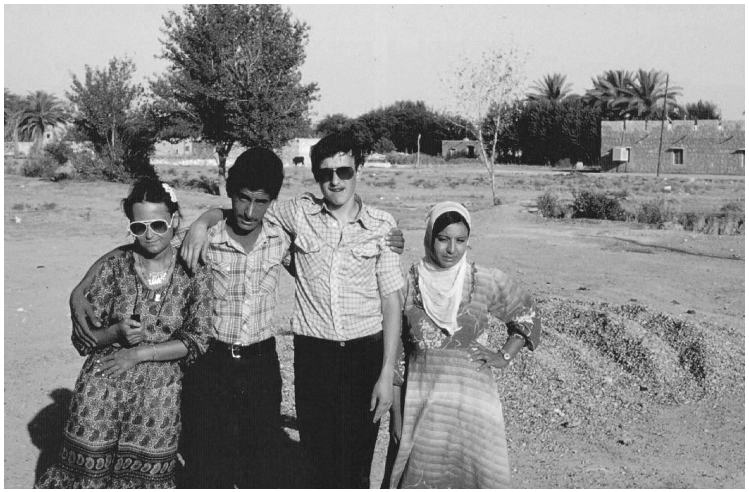

Jola i Jacek z Jamalem i jego siostrą

Po roku oni uznawali to za zwykłą przyjemność goszczenia szefa kontraktu, ja zaś za przerywnik w czasie pracy. Ponieważ nie zadzierałem nosa wyraźnie wyczuwałem, że jestem po prostu lubiany. W chwili kiedy przyjechały do mnie moje dzieci z kraju w okresie wakacyjnym, któregoś dnia nasz tłumacz Jamal zaprosił nas do siebie. Ja nie mogłem jechać od rana, z uwagi na ważne sprawy. Jola i Jacek pojechali z Jamalem, a ja obiecałem przyjechać po południu. Była to szczególna okazja, aby moje dzieci poznały od wewnątrz rodzinę arabską i porobiły trochę zdjęć, bardzo jak później się okazało, sympatycznej rodziny. Po południu zorganizowano typowo arabską przekąskę, oczywiście jedzoną rękoma, ale przy stole i siedząc na krzesłach, co było również pewnym zaskoczeniem. Siedziała z nami siostra Jamala i na chwilę weszła też ich matka. Pamiętam to jako zupełnie odmienną formę wizyty niż dotychczas.

Wyjazdy służbowe i prywatne do sąsiadów

Będąc w Iraku miałem możliwość wykorzystywania wolnego czasu na dość dokładne poznawanie całego kraju. Dysponowałem dobrym samochodem z klimatyzacją.Była to Toyota Corona o pojemności silnika 2,0 l. i 150 KM. Nie musiałem oszczędzać na benzynie i miałem również duże chęci poznawcze. Nic więc nie stało na przeszkodzie aby wybierać sobie dowolne trasy i z przewodnikiem po Iraku w ręku, pomimo trwającej wojny, jeździć w dowolnym kierunku. Część tych tras opisałem w poprzednich rozdziałach, ale było wiele innych równie ciekawych.

Wycieczki zagraniczne wiązały się w zasadzie z wyjazdami służbowymi. Pierwszym takim krajem do którego trzeba było pojechać był Kuwejt. Razem z moim zastępcą ds. mechanicznych Krzysztofem pojechaliśmy tam po zakupy opon do sprzętu oraz części zamiennych do maszyn. Po pobraniu czeku i załatwieniu wiz ruszyliśmy samochodem w kierunku Kuwejtu. Jechaliśmy trasą zachodnią przez Diwanyah i Nasyriyah zwykle nie za

bardzo obciążoną. Tym razem niestety tą trasą do Basry skierowano ciągniki z czołgami. Taki właśnie ciągnik był przyczyną wypadku, który zatarasował nam drogę. W ciągnik uderzył autobus wiozący ludzi. W efekcie tego zderzenia było wielu rannych. Czy były ofiary śmiertelnie, nie próbowaliśmy dowiedzieć się, tym bardziej, że policja wsadziła nam do samochodu rannego Araba, który niesamowicie krwawił i kazała nam dostarczyć rannego do najbliższego szpitala w Nasyriyi. Oponować w takich przypadkach nie należało, bo moglibyśmy stracić samochód. Po oddaniu rannego w szpitalu szybko skierowaliśmy się do Kuwejtu. Niespodziewane przygody z rannym pokrzyżowały nam plany i zmusiły do czyszczenia wnętrza samochodu, łącznie z myciem pokrwawionych siedzeń. Aby było weselej po wjechaniu na drogę biegnącą przez Pustynię Saudyjską, rozpoczęła się burza piaskowa. Wiało niesamowicie. Piasek szorował samochód, jak okazało się później bardzo skutecznie, bo po jakimś czasie nic nie było widać przez przednią szybę. Zrobiła się matowa. Dotarliśmy szczęśliwie do punktu granicznego. Potem już normalna procedura - czy wieziemy alkohol , narkotyki i broń? Oczywiście odpowiedź była prawdziwa, że żadnej z tych rzeczy nie wwozimy. Po chwili

kazano nam otworzyć bagażnik i przeprowadzono dość dokładny przegląd zawartości, ale najważniejsze było otwarcie karnistra z benzyną i termosów z wodą. Obie zawartości były dokładnie obwąchane przez 2 celników. Nie zapomnieliśmy o tym, że Kuwejt to kraj w którym obowiązuje pełna prohibicja i że przez cały okres pobytu nie będzie nam dane wypić nawet piwa. Takie jest niestety tamtejsze prawo i nikt nie może się wyłamać pod groźbą więzienia. Dojechaliśmy do centrum i hotelu, w którym mieliśmy załatwione noclegi. Hotel był bardzo przyzwoity i dobrze wyposażony. W telewizji leciał program ze studia hotelowego nadającego rożne filmy zagraniczne. Był też program lokalnej telewizji. Najciekawsza była informacja umieszczona przy kranach w łazience - woda nadaje się do picia i jest podawana z oczyszczalni wody morskiej. Przed wyjazdem do Kuwejtu słyszałem o tym, że warto właśnie popróbować wodę, bo jest bardzo smaczna, a stanowi swoisty ewenement tego kraju. Kuwejt nie posiada żadnej rzeki, a o wierceniu ujęć wody raczej nie ma mowy ponieważ całe terytorium kraju leży na olbrzymich pokładach ropy. Z tego powodu Kuwejt, jako pierwszy w świecie zbudował i uruchomił ujęcie i oczyszczanie wody morskiej do celów konsumpcyjnych. Tym sposobem

zaspokajano potrzeby kraju i mieszkańców. Woda jest bardzo smaczna bez żadnego posmaku soli morskiej. Kuwejt graniczy z Irakiem i Arabią Saudyjską i jest położony nad Zatoką Perską. Cała powierzchnia tego kraju to prawie 18 tys.km2 z czego 92% to pustynia . Ludności jest około 2 mln , z czego około 45% to rdzenni Kuwejtczycy ,a pozostali to różnego rodzaju imigranci z Azji i Afryki. Praktycznie zdecydowana większość wszystkich stanowisk pracy zajmowana jest przez Hindusów. Opanowali oni zarówno handel jak i niektóre instytucje. Rdzenni Kuwejtczycy nie pracują, ponieważ przy dużym dochodzie narodowym otrzymują pieniądze od państwa. W jedynym przypadku gdzie spotkaliśmy się z Kuwejtczykami pracującymi, to był bank gdzie pobieraliśmy pieniądze na planowane zakupy. Sama forma odbioru, jednak dość pokaźnej kwoty pieniędzy, bo było to ponad 50 tysięcy dolarów amerykańskich, była też ciekawa. Po oddaniu czeku za niedługą chwilę otworzyło się okienko kasy i wręcz wyrzucono na ladę paczki z pieniędzmi. Praktycznie nie było możliwości ich przeliczenia. Z duszą na ramieniu pojechaliśmy do hotelu, gdzie szybko zabraliśmy się za liczenie. Wszystko się zgadzało. Ot niewierny Polak nie wierzył opaskom z pieczątką „Bank of

Kuwejt". Po raz drugi sprawdziliśmy te opaski w trakcie dokonywania zakupu dla budowy. Po wynegocjowaniu ceny płaciliśmy również w podobny sposób i sprzedający przeliczał jedynie luźne banknoty bez ruszania paczek z opaską banku. Dla mnie to była kolejna nowinka, ale nie było się czemu dziwić. Mało kiedy człowiek operował tak dużymi kwotami pieniędzy przy zakupach. Wszystkie części i opony udało się kupić w dwóch miejscach. Było to wygodne, bo sprzedający zapewniali również transport na budowę. Najważniejsze dla nas były opony do zgarniarek Caterpillar. Średnica takiej opony wynosiła około 2 m, a cena sięgała kosztu niezłego samochodu osobowego (w tym czasie ponad 2,5 tys. dolarów). Braliśmy cztery takie opony i trochę innych znacznie mniejszych oraz trochę tańszych. Opony takie napełniano azotem jako bezdętkowe. Po dokonaniu zakupów ruszyliśmy w miasto zarówno w celach poznawczych jak i dla realizacji swoich zakupów i zakupów dla kolegów zgodnie ze składanymi przed wyjazdem zamówieniami. Zasadnicze zakupy najczęściej przywożone z Kuwejtu to spódnice pakistańskie z czystej bawełny w różne wzory. Były bardzo ładne i podobno bardzo wygodne w użytkowaniu. Zamówienia sięgały 50 sztuk. Do tego doszły

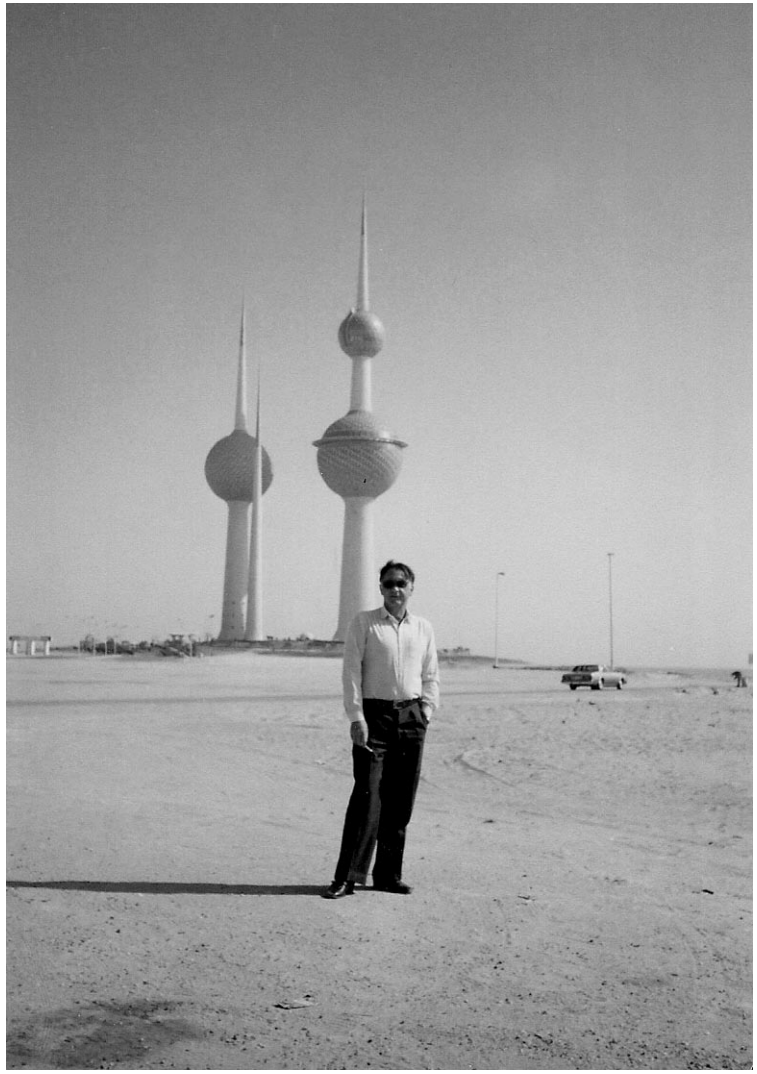

W tle wieże ciśnień - symbol Kuwejtu

równie tanie i masowo sprzedawane korale z agatów. Nie pamiętam ile tego kupiliśmy, ale w sumie było wszystkiego dużo. Kiedyś Kuwejt stanowił miejsce, w którym zaopatrywano się w wyroby ze złota, które były również tanie. Nie wypadało nawet w celach poznawczych nie odwiedzić „złotej ulicy" nazwanej tak przez naszych rodaków z uwagi na kapiące złotem wystawy. Według opowieści dawnych bywalców, w latach 70-tych kupowano wyroby ze złota na wagę nie bawiąc się w szczegóły dokładnego oglądania. Nie wypadało i nam nic nie kupić na pamiątkę z tego kraju. Przypominam sobie, że kupiłem dla siebie obrączkę, a dla żony sztabki złota przygotowane jako wisiorki. Były ładne. Do zakupu pozostał aparat fotograficzny i jakiś ładny materiał. Z aparatem nie było problemu - wybór był duży. Wybrałem Yashikę, lustrzankę z bardzo dobrym obiektywem 1.8 umożliwiającym robienie zdjęć przy kiepskim oświetleniu. Marzyłem o czymś takim od lat, a szczególnie teraz gdy było tyle do udokumentowania. Zostało nam trochę czasu na zwiedzanie i planowaną kąpiel w Zatoce Perskiej.

Najpierw obejrzeliśmy wieże stanowiące symbol tego miasta. Na najwyższej z trzech znajdowała się kawiarnia stanowiąca jednocześnie

punkt widokowy. Wjazd na górę szybkobieżną windą trwał kilka sekund, a widok był niezapomniany . Przed nami aż do horyzontu był widok miasta, port i zatoka, a pod nogami widoczne przez szklaną podłogę miniaturki samochodów na parkingu. Po zjechaniu na dół przeszliśmy na plażę i planowaną kąpiel. Morze było cieplutkie, a baraszkujące delfiny dodawały dreszczyku emocji. Byliśmy na plaży, a kąpiących się jak na lekarstwo. Chyba to jednak zarówno dzień jak i godziny nie sprzyjały plażowaniu. Trochę to było dziwne, ale jakoś nie znalazł się nikt, kto by nam to wytłumaczył.

Zmordowani zarówno wycieczką jak i zakupami, wolno ruszyliśmy w kierunku hotelu. Po drodze zatrzymaliśmy się przy sklepie, w którym zauważyłem ładne materiały. Okazało się że był to Sari House, w którym sprzedawano gotowe sari, czyli rożnego typu materiały w kuponach po 5-6 m, którym owijały się kobiety hinduskie znanym im tylko sposobem. Wybór był ogromny, wzory przeróżne, a i materiały również ciekawe począwszy od różnego rodzaju tańszych, ale równie ładnych, do tych najdroższych z czystego jedwabiu ręcznie malowanego. Obsługa sklepu zajęła się nami od chwili wejścia i na każdym kroku służyła radami i wyjaśnieniami.

W efekcie kupiliśmy po dwa kupony. Jeden z tych trochę tańszych i drugi z tych droższych, aby nie posądzono nas o sknerstwo. Zmęczeni wyrwaliśmy się z rąk bardzo miłych Hindusek – ekspedientek tego sklepu i pojechaliśmy wreszcie coś zjeść, a przede wszystkim czegoś się napić. Marzyliśmy o dobrym piwku zapominając o obowiązującej tu prohibicji. Skończyło się więc tylko na zimnych napojach, takich jak pepsi cola, czy 7-UP. Po poobiedniej drzemce przeszliśmy się piechotą do portu, w którym cumowały wielkie wycieczkowce. Zapachniało wielkim światem z licznymi wycieczkami turystów z Niemiec i Stanów Zjednoczonych.

Samo miasto Kuwejt ma ciekawy układ ulic. Stanowią one kolejne kręgi, których początek i koniec łączy się z autostradą biegnącą wzdłuż zatoki. Pierwszy krąg to reprezentacja z pałacem Emira i budynkami co ważniejszych osobistości. Układ domów zgadzał się z hierarchią. Przedostatni krąg to rożnego rodzaju przedsiębiorstwa, markety i sprzedawcy wszystkiego co człowiekowi potrzeba. Na tym kręgu dokonywaliśmy naszych zakupów dla budowy. Tak jak wszędzie na Bliskim Wschodzie obowiązywała zasada –targuj się w każdej sytuacji, bo jeżeli tego nie zrobisz nie zostaniesz uznany za dobrego klienta, z którym

warto rozmawiać. Zgodnie z tą zasadą trzeba targować się wszędzie, nawet kupując drobiazgi. To zawsze się opłacało chociaż czasem była to tylko wojna o pietruszkę. Każda tego typu transakcja była dobrze widziana, a nierzadko kończyła się podaniem herbaty. Szybko minęły cztery dni pobytu i trzeba było wracać do siebie. Przekroczenie granicy nie stanowiło żadnego problemu. Żadnej większej kontroli bagażu, tylko w zasadzie kontrola dokumentów i przed nami zostało około 800 km drogi powrotnej. Minęła dosyć szybko przy stosunkowo niedużym ruchu. Wieczorem dotarliśmy szczęśliwie do domu.

W kolejnej informacji o sąsiadach - kilka zdań o państwie graniczącym z Irakiem od zachodu. Tak jak poprzednio wspominałem, przyjaźń między tymi krajami nie należała do najbardziej wzorcowych. Przykładem było nienormalne rozsunięcie linii granicznych kosztem jednego i drugiego kraju. Powstał więc pas „ziemi niczyjej”. Tym krajem o którym teraz znowu parę zdań jest Syria. Kolejny kraj z którym po wybuchu wojny z Iranem mieliśmy długotrwałe kontakty. Na lotnisko w Damaszku były teraz kierowane samoloty z pracownikami lecącymi na budowy w Iraku. Z tego lotniska będą odlatywać do kraju ludzie kończący swoje kontrakty oraz

wszelkiego rodzaju delegacje, a także członkowie rodzin odwiedzający swoich bliskich w Iraku. W takiej sytuacji pojechałem do Damaszku, do biura Lotu celem uzgodnienia współpracy. Wybrałem się tam z naszym kadrowcem i osobą prowadzącą sprawy celne. Przed wyjazdem trzeba było zapoznać się z opisami zabytków, które przy okazji należałoby zobaczyć . Tak jak już sygnalizowałem poprzednio w rozszerzonym pasie pomiędzy granicami Iraku i Syrii była tzw. ”ziemia niczyja”. Było to określenie czysto teoretyczne, bo ziemie te należały zarówno do Iraku jak i Syrii. Sytuacja ta umożliwiała rożnego rodzaju przekręty prawne. Szczególnie dotyczyło to sprzętu wszelkiego rodzaju sprowadzonego do Iraku na tzw. odprawach warunkowych. Z chwilą wyeksploatowania takich maszyn czy samochodów nie można było kasować ich na miejscu, bo po pierwsze należałoby opłacić cło wwozowe (bardzo wysokie), opłacić przyjazd celników na budowę celem sporządzenia protokołów kasacyjnych i po tym opłacić i zawieźć skasowane rzeczy w miejsce składowania złomu. Za to również trzeba było wnosić wysokie opłaty. Z samym przygotowaniem do kasacji były też cyrki - kasowana maszyna musiała mieć wszystkie części, a żarówki w reflektorach oczywiście

mogły być przepalone, ale być musiały. Przed takim złomowaniem trzeba było wszystko dokładnie przeglądać, uzupełniać i kompletować, a w efekcie tworzyć zupełnie niepotrzebne koszty. Dlatego też przyjęło się, że prościej jest wywieźć to za granicę, a tym samym zlikwidować wwóz warunkowy. Sprzęt ten należało tylko wywieźć w pas „ziemi niczyjej” i tam zostawić. Nie wiem kto rozpoczął taki proceder, które państwo zrobiło to jako pierwsze, prowadzące roboty w Iraku? Była to ogólnie znana tajemnica. Ciekawe co pomyślą sobie o tym nowi odkrywcy wygrzebując zasypane piaskiem pustyni sprzęty i pojazdy XX wieku.

Pierwszym przystankiem na trasie do Damaszku były wykopaliska w Palmyrze. To starożytne miasto w północnej części Pustyni Syryjskiej leży około 200 km na północny wschód od Damaszku. Jest położone na trasie dróg handlowych między Mezopotamią a Morzem Śródziemnym. Starożytne określenie tego miasta to Tadmur. Pierwsze zapiski o nim znaleziono na tabliczkach glinianych znalezionych w Niniwie. Napisano o tym w Starym Testamencie. Od roku 1959 badania archeologiczne prowadzili tam również Polacy. Obecnie badania te obejmują obszar ponad 60 ha. Największe wrażenie pozostawia częściowo odbudowana kolumnada wzdłuż głównej ulicy

miasta, ruiny wielkiej świątyni, teatr i wiele innych pozostałości bogatej historii tego miasta. Obecnie w pobliżu tych ruin istnieje miasto Tadmur stanowiące bazę wypadową dla rożnego rodzaju wycieczek turystycznych. Rozpisałem się na temat jednego miejsca, a przecież Syria to kraj również - podobnie jak Irak - miejsce wielu zabytków i bogatej historii. Niestety nie mogłem penetrować tego kraju tak dokładnie jak Iraku, bo obowiązki służbowe na to nie pozwalały, a tocząca się wojna uniemożliwiała dłuższą nieobecność na budowie. Przed nami stolica kraju - Damaszek mająca swoją bogatą historię. Skierowaliśmy się do biura Lotu, w którym mieliśmy omówić naszą współpracę na najbliższa przyszłość, ponieważ nic nie wskazywało na prędkie zakończenie konfliktu miedzy Irakiem i Iranem. Wszystkie sprawy udało się załatwić łatwo, bo okazało się, że super dobrą opinię wystawili nam piloci ewakuowani przez nas z Iraku. To zdecydowanie ułatwiło nam załatwienie wszystkich spraw. Na nocleg zatrzymaliśmy się w hotelu Byblos, który był bardzo wygodny z dobrymi warunkami zakwaterowania i dobrym wyżywieniem.

W hotelu tym zatrzymaliśmy się ponownie gdy odwoziłem żonę po pobycie u mnie przed jej odlotem do kraju. Była to okazja aby zobaczyć

miasto i jego ważniejsze zabytki. Damaszek jest jednym z najstarszych miast na świecie, jak również jednym z czterech najważniejszych miejsc Islamu. Miasto znane jest szczególnie z produkcji jedwabiu, stali damasceńskiej i fajansów. Jednym z ważniejszych zabytków jest Wielki Meczet Omajjadów z 704 r. przebudowany z Bazyliki Świętego Jana Chrzciciela, którego szczątki nadal są przechowywane w meczecie jako relikwie jednego z proroków uznawanych przez muzułmanów. Zwiedzanie tego meczetu było możliwe po spełnieniu wszystkich warunków przypisanych tym obiektom. Musieliśmy zostawić w przedsionku swoje obuwie i pobrać nakrycie. W przypadku kobiet jest to czarna abbaya przykrywająca całe ciało. Mężczyzn to nie obowiązywało. Źle tylko zrobiłem pozostawiając na nogach skarpetki, bo z uwagi na dużą ilość gołębi dziedziniec był pokryty ich odchodami, które przyklejały się do skarpet i do nóg. W każdym razie po niedługim czasie ja miałem podeszwy z przyklejonych odchodów, a moja żona to samo , ale na gołych stopach. Meczet sąsiadował z wielkim dziedzińcem, na którym znajdowały się trzy obiekty. Po środku stała studnia do ablucji rytualnych, a dwa pozostałe to Kopuła Skarbu i Kopuła Godzin - obie oparte

na ośmiu kolumnach. Z dziedzińca wchodziło się do poszczególnych pomieszczeń modlitewnych odrębnych dla kobiet i mężczyzn.Był to pierwszy tego typu obiekt religijny na Bliskim Wschodzie ,który udało się zwiedzić.Było warto,a wrażenia pozostaną na długo bo charakter tych miejsc jest zupełnie odmienna od świątyń chrześcijańskich Po zwiedzeniu meczetu i ubraniu butów, udaliśmy się na wielki bazar Suk al Hamadijja. To olbrzymia budowla rozbrzmiewająca gwarem kupujących i sprzedających. Można tam było wszystko kupić co nie omieszkaliśmy zrobić. Cała radość była z targowania się. Z jednego miejsca wychodziliśmy kilka razy, a za nami wybiegał sprzedawca. Za każdym kolejnym wejściem wysłuchiwaliśmy lamentu jak chcemy doprowadzić sprzedawcę do bankructwa, a jego dzieci do głodowania. Byliśmy jednak nieustępliwi i w efekcie kupiliśmy towar za 1/10 ceny wywoławczej. Na zakończenie transakcji dostaliśmy jeszcze tradycyjną herbatę, a obydwie strony wydawały się być zadowolone. Odwiedziliśmy jeszcze parę sklepów. Damaszek wyraźnie budowany był pod wpływem wielu kultur. Gwiaździsty układ ulic rozchodzących się od głównych placów oraz architektura nowszych budynków przypomina trochę Paryż. Widać tu wpływ Francuzów. To piękne miasto zamieszkałe

Wejście do meczetu Omajjadów w Damaszku

Damaszek - widok na miasto

jest przez ponad milion mieszkańców. Aby je zwiedzić dokładnie i jego wszystkie zachowane zabytki, trzeba by było zdecydowanie więcej czasu. Jeszcze rzut oka na pobliskie góry Antyliban i przyklejone do ich zboczy domki. Wyglądały bardzo uroczo .Podobno na tej górze Kain zabił Abla, jak opowiadali Arabowie. Trzeba było powoli wracać do hotelu, trochę odpocząć i przygotować się do wieczornego wyjazdu na lotnisko położone około 30 km. od centrum. Przy okazji miałem zabrać do Iraku naszego doktora, który miał wracać z Polski. Po powrocie z lotniska na którym pomachałem za odlatującym do kraju samolotem z moją żoną na pokładzie, wróciliśmy do hotelu w którym spędziliśmy jeszcze jedną noc. Wieczór poświęcony był wysłuchaniu opowieści z kraju. Nasz doktorek oczywiście nie zapomniał o polskim chlebku, smalcu ze skwarkami i oczywiście dobrej polskiej kiełbasie. Objadaliśmy się tymi specjałami, tak dawno nie widzianymi, słuchając jednocześnie opowieści o tym co dzieje się w Polsce. Widocznie jednak przesadziliśmy trochę z jedzeniem, bo ranek nie był najciekawszy, a nasza dwójka niestety dostała rozstroju żołądka i tylko dzięki temu, że mieliśmy ze sobą lekarza jakoś udało się wyjechać do Iraku. Po drodze tylko jedliśmy jabłka, które podobno

zalecane były w takich sytuacjach. Dalsze godziny przejazdu powrotnego nie sprawiały już żadnego kłopotu. Wieczorem dotarliśmy do domu.

Kolejnym krajem, który chciałbym w dużym skrócie opisać to Jordania. Od pierwszych dni wojny stała się ona celem naszych penetracji w poszukiwaniu źródeł dostaw cementu. Okazało się to możliwe i po załatwieniu umów zarówno na cement jak i jego dostawę, sprawa szybko zaczęła się rozkręcać. Dostawcy okazali się bardzo solidni. Opierając się na zawartej współpracy zadecydowaliśmy o zorganizowaniu wycieczki dla załogi, aby poznać kolejny kraj i jego bogate zabytki. Ponieważ zebrało się więcej chętnych, do obsługi tej wycieczki daliśmy własny autobus, który mógł zabrać 60 osób. W tym czasie była u mnie żona, była więc okazja żeby skorzystała z możliwości interesującego wyjazdu.

Ustalony program przewidywał zwiedzanie stolicy kraju - Ammanu. Potem Morze Martwe. Kolejno w programie była Petra, a następnie zatoka Akaba nad Morzem Czerwonym. Program był bardzo bogaty i bardzo interesujący.

Droga do Jordanii wiodła od przejścia w Rutbie do Ammanu przez pustynię Harra charakteryzującą się pokryciem powierzchni odłamkami lawy wulkanicznej w kolorze czarnym. Pozostawiało

to wrażenie drogi do piekła, jak popularnie to określano. Stolica kraju Amman zamieszkała jest przez około 2 milionów mieszkańców. Pierwsze wrażenie to czystość, a tym samym odmienność od innych krajów arabskich. Była duża ilość nowoczesnych budynków i dobrze zorganizowana komunikacja. Miejsca zabytków były pieczołowicie chronione i eksponowane. Bogata historia tych ziem rozpoczynała się od XIII wieku przed naszą erą. Ziemie te zamieszkiwały plemiona Ammonitów i Moabitów. Od X w p.n.e przechodziły pod panowanie Izraela, a następnie pod władanie imperium Asyryjskiego. Kolejne władanie nad tymi terenami przejmowało Bizancjum, Jerozolima i Egipscy Mamelukowie. Następnie już w czasach nowożytnych panowali tu Turcy. Każde panowanie pozostawiało na tych terenach różnego rodzaju budowle, które odkrywane po latach stanowią ciekawe do zwiedzania zabytki. Obecnie jest to monarchia konstytucyjna przechodząca z ojca na syna. Jednym ze znanych nam - krótkofalowcom - władcą był Husajn, a jego znak JY1. To wyjątkowo ciekawa postać. Uważał wszystkich krótkofalowców za swoich kolegów i nie tolerował zwracania się do niego przez „Jego Wysokość". Uważał, że w naszym krótkofalarskim światku należy zwracać

się po imieniu. Zawsze bardzo miło wspominam moje radiowe z nim kontakty.

Amman jako stolica kraju jest również miejscem wielu zabytków . Z najlepiej zachowanych to amfiteatr z II w. na 6000 miejsc, świątynia Herkulesa, ruiny pałacu Omajjadów z VII lub VIII w. i nowoczesne meczety, niestety dostępne jedynie dla muzułmanów. Kolej na Górę Nebo, a stamtąd już niedaleko do Morza Martwego. Góra Nebo opisywana jest w Starym Testamencie jako miejsce gdzie Mojżesz po sprzeniewierzeniu się Bogu, jako przywódca narodu, miał wejść i popatrzeć na ziemie dane przez Boga Izraelitom. Nie miał natomiast tam wstępu jako karę za odmowę posłuszeństwa. Na górze tej powstało bizantyjskie sanktuarium Mojżesza już w IV w.n.e. Potwierdziły ten fakt wykopaliska, których znaczna część znalezisk znajduje się w pobliskim muzeum. Dalsza droga prowadziła już nad Morze Martwe. Leży ono w północnej części tektonicznego Rowu Jordanii przy granicy jordańsko - izraelskiej . Lustro wody znajduje się w najniższym punkcie ziemi 418 m. p.p.m i ciągle się obniża. Jezioro to wykazuje znaczne zasolenie około 28 %. Powodowane to jest zarówno brakiem odpływu wody jak i jej parowaniem. Znaczne zasolenie wody powoduje zupełny brak życia

organicznego. Wodę wykorzystuje się dla celów leczniczych, a akwen jako źródło wydobywania soli kuchennej i soli potasowej. Samo jezioro jest wykorzystywane przez turystów jako miejsce do kąpieli, ponieważ woda utrzymuje na powierzchni również nie umiejących pływać. Oczywiście po takiej przyjemności pływania konieczny jest prysznic ze słodkiej wody. Trzeba to zrobić wyjątkowo dokładnie, bo na powierzchni skóry utrzymuje się biały nalot.

Kolejne miejsce do zwiedzania, to uważana za jeden z cudów świata Petra. Położona jest w południowo zachodniej Jordanii na terenie wyżynnym będącym częścią masywu Dżabal asz Szara. Zlokalizowane wśród gór ruiny miasta wykutego w skałach, zachwycają przybywających tu turystów. Już samo dojście lub dojechanie na grzbietach koni wypożyczanych przez Arabów, stanowi nie lada atrakcję. Aby docenić widok tego miejsca, trzeba to koniecznie zobaczyć. Jest to bez wątpienia największa atrakcja turystyczna Jordanii. Wyjątkowe miasto wykute zostało w stromej skale przez Nabatejczyków (pracowity lud Arabów), którzy osiedlili się tutaj prawie 2000 lat temu. Wejście do miasta prowadzi przez wąski przesmyk otoczony wysokimi na około 100 m pionowymi skałami. Już samo przejście

tą drogą pozostawia niezapomniane wrażenia. Kolory i formacje skalne są dla zwiedzającego olśniewające. Po wejściu do Petry zostajemy przytłoczeni przez naturalne piękno tego miejsca jak i wybitnych osiągnięć architektonicznych. Rzeźbione frontony budowli, grobowce i ołtarze ofiarne, wszystko to stanowi o charakterze tego miasta. Do tego jest olbrzymi amfiteatr na około 3000 osób i ruiny domów zniszczonych przez trzęsienia ziemi. Kanały doprowadzające wodę do specjalnie wybudowanych zbiorników dają wyobrażenie o znaczeniu tego miejsca. Zostało ono wpisane na listę Światowego Dziedzictwa UNESCO w roku 1985. Z uwagi na położenie tego miejsca i trudność dotarcia odkryto je w czasach nowożytnych dopiero w 1812 roku. Zrobił to szwajcarski podróżnik. Obecnie Petra stanowi główny punkt prawie każdej wycieczki do Jordanii. Zwiedzenie dokładne tego miejsca wymaga dłuższego czasu, jednak nawet jednodniowy pobyt pozostawia na zawsze w pamięci to szczególne miejsce.

Teraz kierunek Akaba, ostatni punkt programu zwiedzania Jordanii. Akaba jest najdalej na południe wysuniętym miastem położonym nad Morzem Czerwonym. W sumie długość granicy morskiej wynosi tylko 25 km. Zatoka Akaba

stanowi piękne miejsce zarówno do zwiedzania jak i poznania piękna dna morskiego. Wynajmowane na przejażdżki łodzie posiadają szklane dna umożliwiające popatrzenie w głębiny morza. Wielość kolorów dna, raf koralowych i barwnych rybek wprawia każdego w zrozumiały zachwyt. Można wyobrazić sobie piękno tych miejsc widziane przez okulary płetwonurka. Wszystko to było piękne i warte zobaczenia. Niestety twarda rzeczywistość nakazuje wybranie się w drogę powrotną do Iraku. Jak zwykle to bywa przy powrotach, droga wydaje się zdecydowanie krótsza i po kilkunastu godzinach nasz autobus dotarł na Kamp.

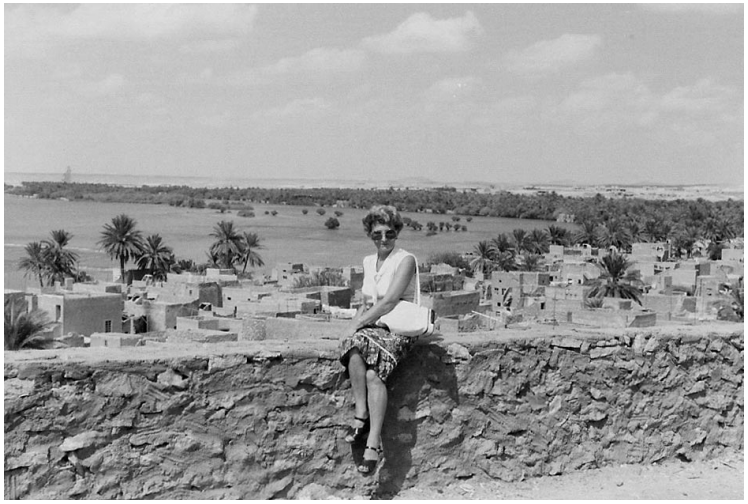

Irena na wycieczce

Ostatnie dni na budowie

Po trzech latach pobytu w Iraku i zakończeniu okresu mojego kontraktu pomyślałem „wystarczy tego dobrego" i podjąłem decyzję o powrocie do domu. Po spisaniu protokołów przekazujących kontrakt i odwiedzeniu wszystkich przyjaciół w Iraku, przystąpiłem do przygotowań związanych z wyjazdem. Przejmujący nowy kontrakt o symbolu MD5 dotarł już do Ramadi. Dobrze się składało że, odlot miał już nastąpić z Bagdadu, w którym otwarto nowe zabudowania lotniska. Nadszedł dzień ostatniego pobytu na Kampie. Po pożegnaniu się z kadrą i załogą wsiadłem do samochodu, aby pojechać do domu do Ramadi i przygotować się do wieczornego wyjazdu na lotnisko. W chwili wyjazdu zawyły syreny wszystkich maszyn na Kampie i klaksony samochodów. Zrobiło mi się jakoś dziwnie, w oku pojawiły się łezki, a w duszy żal za tym co tu pozostawiam za sobą. Ten sposób pożegnania upewnił mnie, że chyba cieszyłem się sporym zaufaniem wśród ludzi. Ostatni raz jechałem tą trasą, którą przemierzałem każdego dnia i zawsze w okresie gdy kwitły mimozy. Pozostawiałem za sobą ten urzekający zapach.

Na lotnisko odwiózł mnie Andrzej i Krzysiek,

moi już byli zastępcy. Na miejscu okazało się, że przybyło więcej osób z innych budów, żeby mnie również pożegnać. Był to dla mnie bardzo miły gest z ich strony. W samolocie spotkałem wiceszefa Biura Radcy Handlowego, z którym sobie jeszcze trochę pogadaliśmy i wychyliliśmy symbolicznego „szczeniaczka", rozdawanego przez stewardesy w naszym polskim samolocie. Mieliśmy międzylądowanie w Burgas i dalej już lecieliśmy do Warszawy. Na lotnisku w czasie odprawy zobaczyłem przez szyby żonę dającej mi dziwne znaki. Po pewnym czasie odczytałem to jako informację o tym, że zostałem dziadkiem, bo Jola urodziła córkę. Odpowiednie ułożenie palców kciuka i wskazującego obrazujące dziurkę i lulanie rękami od razu na to mnie naprowadziło. Odprawa trwała dosyć długo, bo miałem wypełnione arkusze mienia przesiedleńczego, a to musiało być przez celniczkę dokładnie sprawdzone. Mienie przesiedleńcze obowiązywało po dłuższym pobycie za granicą. Po załatwieniu wszelkich formalności wreszcie byłem ponownie w kraju, w którym było już lato, a ja dygotałem z zimna. To był szok termiczny. Jednak organizm musi się przyzwyczaić do nowych warunków. Już w samochodzie którym przyjechał jeden z moich irackich pracowników z moją żoną,

delektowałem się specjalnie przywiezionymi na tę okazję naszymi polskimi jabłkami. Całą drogę wysłuchiwałem relacji co dzieje się w kraju, co u znajomych i oczywiście co w domu. NARESZCIE BYŁEM JUŻ W DOMU PO TRZYLETNIM POBYCIE NA OBCZYŻNIE.

Starożytne systemy nawadniające

Już w kraju

Po powrocie do kraju praktycznie powinienem wykorzystać przysługujące mi urlopy. Zebrało się tego sporo, bo były to zarówno urlopy za okres trzech lat pracy jak i wolne dni za pracę w niedzielę i święta. W sumie było tego prawie osiem miesięcy. Oczywiście już po miesięcznym urlopie, odwiedzinach matki i bliskich poza Bydgoszczą doszedłem do wniosku, że za dużo tego dobrego. Człowiek przyzwyczajony do pracy nie powinien za bardzo korzystać z możliwości nie pracowania. Tak los układał moje życie, że nigdy nie szukałem pracy. Nie zaznałem uciążliwości bezrobocia, ani innych tego typu kłopotów. Dlatego też po ponad miesięcznym obijania się, zgłosiłem się do dyrektora przedsiębiorstwa z zapytaniem kiedy mogę podjąć pracę. Przyjęte to zostało pozytywnie z jedynym warunkiem. Na początku mogłem pracować jako kierownik działu, ponieważ moje poprzednie stanowisko było zajęte. Czekać oczywiście nie chciałem i wyraziłem na to zgodę. Nowy dział miał zająć się wprowadzaniem komputeryzacji zarówno w projektowaniu jak i produkcji. Było to coś

nowego i zajęcie się tymi sprawami stanowiło dla mnie zmierzenie się z czymś nowym. Po roku ponownie objąłem stanowisko zastępcy dyrektora d/s produkcji, a następnie w 1985 po wygraniu konkursu objąłem stanowisko Dyrektora Przedsiębiorstwa Budownictwa Wodnego. Mój poprzednik przeszedł na emeryturę. Praca przedsiębiorstwa przebiegała bez zakłóceń. Pracy było dużo, chociaż już w końcówce lat 80-tych dało się odczuć coraz mniejsze finansowanie dróg wodnych. Po zmianach ustrojowych w 1989 roku i wprowadzeniu gospodarki rynkowej dla przedsiębiorstw państwowych zaczęły się złe czasy. Szczególnie odczuwały to przedsiębiorstwa dysponujące dużym zapleczem socjalnym z budynkami mieszkalnymi, ośrodkami wczasowymi jak i dużym wyposażeniem w sprzęt techniczny i zapleczami warsztatowo-produkcyjnymi. To wszystko stwarzało dodatkowe koszty, rzutujące w efekcie na ceny produkcji.

Start w przetargach w takich warunkach był wyraźnie utrudniony, a wygranie i otrzymanie zlecenia na duże roboty – wyjątkowo trudne, a czasem wręcz niemożliwe. Przedsiębiorstwa naszego typu w kraju czekał czarny okres. Poprzednio cały program produkcji był sterowany centralnie i nie było konieczności walki w

przetargach. W nowych warunkach życie i zlecenia dyktowane było przez inwestora. Poprzednio warunki i przyjmowanie zleceń dyktowało przedsiębiorstwo posiadające odpowiedni potencjał.

W takiej sytuacji czekaliśmy na decyzje organu założycielskiego jakim w tamtym okresie było Ministerstwo Środowiska i Gospodarki Wodnej. Nie szykowało się nic pocieszającego, pomimo że każdy z dyrektorów przedsiębiorstw budownictwa wodnego liczył na opamiętanie się władz i potraktowanie tej branży w sposób priorytetowy. Liczyliśmy na to, że jednak utrzymanie rzek w kraju wymaga dobrego traktowania. Pozbycie się tych, którzy na przestrzeni lat dbali zarówno o stan rzek, jak również szeroko pojętej gospodarki wodnej w przyszłości miało przyczynić się zarówno do zagrożeń powodziowych jak i zaniechania utrzymywania rzek jako szlaków wodnych. Już w tamtym okresie dali o sobie znać „pseudo obrońcy środowiska". Głosili oni hasła o konieczności zachowania rzek w dzikim stanie, ze względu miedzy innymi na ochronę środowiska przed zniszczeniem warunków do istnienia rożnych gatunków ptaków. Nikt jakoś nie głosił haseł ochrony życia ludzkiego w przypadkach powodzi. Koryta rzek nieuregulowanych z czasem

nie pomieszczą wód powodziowych.

W takiej sytuacji wszystkie nasze przedsiębiorstwa w trybie pilnym rozpoczęły akcje pozbywania się budynków mieszkalnych, ośrodków wczasowych i zbędnych zapleczy produkcyjnych. Nie było to łatwe, cały majątek praktycznie był zapisany jako własność Skarbu Państwa i przekazanie komuś poszczególnych jego składników okazało się nie takie proste. Lokalne Rady Narodowe nie były zainteresowane przejmowaniem majątku. Potrzebne były interwencje najwyższych władz. Zdecydowanie gorsza była sprawa z ośrodkami wczasowymi. Jedynym wyjściem z patowej sytuacji było ogłaszanie przetargów i możliwość kupowania poszczególnych domków przez osoby prywatne. Równolegle z działaniami zmniejszania kosztów obciążających przedsiębiorstwo, podejmowano inne działania, takie jak zmniejszanie zatrudnienia. Wszystko to jednak nie pomogło nam na dłuższy okres. Po wystąpieniu szefów firm do Ministerstwa w efekcie w miejsce przedsiębiorstw ,powołano Zakłady Budżetowe Budownictwa Wodnego. Miały one działać na określonych zasadach przez jakiś czas, aż do momentu całkowitej likwidacji. Tak też się stało.

Wytrzymaliśmy ten okres niepewności do

roku 1995. Wystąpiłem do naszego Ministra o wyrażenie zgody na moje przejście na wcześniejszą emeryturę w wieku 62 lat, ale mając przepracowane w sumie 44 lata. Zgodę taką oczywiście otrzymałem z uwagi na likwidację miejsca pracy. Zasiliłem tym samym szeregi osób uzależnionych od ZUS-u.

Na zwolnionych obrotach

Radość z przejścia na wcześniejszą emeryturę nie trwała długo. Po kilku miesiącach odpoczynku od problemów związanych z dotychczasową pracą, przyszedł czas refleksji. Pomogli mi w tym znajomi, którzy uważali że jeszcze nie czas na odpoczynek i przekazali mi propozycję objęcia funkcji inspektora nadzoru nad robotami prowadzonymi na obiekcie melioracyjnym w pobliżu Bydgoszczy. Przyjąłem tę propozycję, ale po kilku miesiącach zrezygnowałem. Powodem był zarówno kiepski wykonawca, jak i niezbyt wypłacalny inwestor. Jeszcze w trakcie tej pracy otrzymałem kolejną propozycję objęcia funkcji kierownika budowy dużej inwestycji w Złotnikach Kujawskich. Praca wiązała się z wykonaniem kanalizacji sanitarnej w Złotnikach. W zakresie tych robót było wykonanie trzech dużych przepompowni ścieków oraz przewiertów pod stacją kolejową dla przeprowadzenia kanalizacji na drugą stronę wsi podzielonej przez tory kolejowe. Była to praca zarówno interesująca technicznie jak i wykonywana w bardzo przyjaznej atmosferze rodzinnej firmy, właśnie ze Złotnik. Prace te trwały

dwa lata. Były początkiem nawiązania ścisłego kontaktu z firmą. W kolejnych latach byłem traktowany w tym gronie jak członek rodziny. Byli zadowoleni ze mnie, a ja z nich. Wspólnie zrealizowaliśmy wiele kolejnych prac kanalizacji sanitarnej i deszczowej. Kolejno nasza ekipa pracowała w Nowej Wsi, Gogołkowie, Wenecji i Biskupinie. W międzyczasie wybudowaliśmy piękną leśniczówkę koło Brzozy i drugą w Łochowicach . Obiekty te w pięknie położonych miejscach, długo będę pamiętał.

Równolegle z wykonywaną pracą na budowach, od roku 2001 rozpocząłem prace w Centralnym Biurze QSL przy Sekretariacie Zarządu Głównego Polskiego Związku Krótkofalowców w Bydgoszczy. Pracowałem tam bez przerwy do roku 2012, wspólnie ze Zbyszkiem SP2IU, od dnia w którym podjęliśmy się to biuro zorganizować. Nikt nie sądził, że będzie to trwało tak długo. Godzenie pracy na budowie i w biurze QSL nie było łatwe. Robiłem to ze względu na sentyment do krótkofalarstwa jak i sympatycznych ludzi, którzy mnie otaczali. Na budowach pracowałem na pół etatu. Praca co drugi dzień umożliwiała mi pracę w biurze trzy razy w tygodniu.

Czytający te słowa może pomyśleć że byłem jakimś szczególnym pracoholikiem. Z takim

stwierdzeniem nie zgadzam się. Podejmując pracę na emeryturze nie powodowały mną jakieś wyraźne ciągoty do nadmiernego wzbogacania się. Po prostu jestem człowiekiem, który uważa, że jego miejsce jest wśród ludzi i chciałby to robić do końca. Każdemu człowiekowi są potrzebni przyjaciele w bardzo szerokim pojęciu tego określenia. Człowiek zasklepiający się w sobie po pewnym czasie czuje się bardzo samotny. Nigdy nie chciałbym być w takiej sytuacji.

Ocena mojej pracy

Efektem mojej ponad 50 letniej pracy na różnych stanowiskach były przyznane mi przez Najwyższe Organy Państwa odznaczeń. Biorąc pod uwagę ich ważność na pierwszym miejscu jest to Krzyż Kawalerski Odrodzenia Polski przyznany mi po powrocie z Iraku. Poprzednio byłem odznaczany Złotym i Srebrnym Krzyżem Zasługi, Złotym i Srebrnym Medalem za Zasługi dla Obronności Kraju, Złotym i Srebrnym Medalem za Zasługi na Rzecz Ochrony Środowiska. Otrzymałem wiele innych medali i odznaczeń, a wśród nich najbardziej przeze mnie lubianą, bardzo ładną Złotą Odznakę Pracownika Morza. Otrzymałem też odznakę Racjonalizatora Produkcji i wojskową -Zasłużony Łącznościowiec.

Nie zapomniały też o mnie miasta dla których budowałem. Toruń uhonorował mnie Medalem Kopernikańskim, Bydgoszcz medalem „Za zasługi dla Miasta Bydgoszczy" i odznaką Zasłużonego Obywatela Bydgoszczy. Są to wszystko przyjemne pamiątki, z którymi jednak po latach nie bardzo wiadomo co robić.

Wypoczynek i rekreacja

Uważny czytelnik moich wspomnień mógłby zauważyć, że głównym celem mojego życia była praca zawodowa w kraju i Iraku. Nie poświęcałem się jej bez reszty. Starałem się znaleźć czas na wypoczynek i rekreację. Od roku 1977 mamy działkę pracowniczą w ogrodzie Wrzos na obrzeżach Bydgoszczy. Ta od początku by domeną mojej żony Ireny. Działka którą odkupiliśmy, była już zagospodarowana z wybudowanym domkiem o powierzchni 30 m kwadratowych. Domek wymagał remontu. Zająłem się tym osobiście jako budowlaniec z zawodu. Postawiłem ściankę odgradzającą kuchenkę od korytarzyka oraz przebiłem drzwi do pomieszczenia gospodarczego. W pomieszczeniu tym postawiłem ścianki dla odgrodzenia łazienki. Wszystkie te zmiany poprawiły funkcjonalność pomieszczeń, a po pomalowaniu, można było całość użytkować. Działka ta służy nam do dzisiaj jako typowo rekreacyjna. Nie uprawiamy już warzyw, a jedynie kwiaty. Jest trawa na całej wolnej powierzchni i drzewka owocowe oraz krzewy ozdobne. W okresie lata jest to miejsce odpoczynku i spotkań rodzinki.

Z chwilą zakupu pierwszego samochodu rozpoczęły się wakacyjne wyjazdy, początkowo jedynie po kraju. Pierwszy wyjazd syrenką wraz z Ireną i dziećmi skierowany był w kierunku wybrzeża. Pierwszy nocleg na kampingu w Łebie rozpoczął naszą wędrówkę. W tym czasie w godzinach wieczornych oglądaliśmy pierwsze lądowanie człowieka na księżycu. Trzeba było mieć dobrze rozbudowaną wyobraźnię, aby na malutkim ekranie telewizora samochodowego zobaczyć szczegóły. Samochód z tym telewizorem był oblegany przez będących aktualnie w pobliżu. Przez kolejne dni zwiedzaliśmy wszystkie miejscowości naszego wybrzeża. Następny przystanek to pole namiotowe w Mielnie. Tam byliśmy przez trzy dni, wykorzystując piękną słoneczna pogodę i ciepłe morze. Na tym polu obok nas rozbiła swój namiot bardzo sympatyczna rodzina z Krakowa z córką, która zaprzyjaźniła się z Jolą.Są do dnia dzisiejszego przyjaciółkami. Przyjaźń ta przetrwała już wiele lat. Odwiedzają się wzajemnie i jak z tego widać jeszcze się nie nagadały.

W czasie naszej wycieczki syn Jacek był mały i jego głównym daniem była kasza z mlekiem, oczywiście jeszcze ciągnięta przez smoczek. Najgorsze z tego wszystkiego był fakt, że kaszę

tę musiałem gotować na kuchence benzynowej, która wymagała anielskiej cierpliwości. Paliła się wtedy kiedy chciała, a nie kiedy była potrzebna. Pomimo takich urozmaiceń wycieczka była bardzo udana. Ostatni nocleg spędziliśmy na polu namiotowym w Międzyzdrojach. Dalej pojechaliśmy do Świnoujścia i z powrotem do domu. Dzieci rosły i w kolejnych latach pojechaliśmy w takim składzie w Bieszczady a w roku następnym do Zakopanego.

Z chwilą zmiany samochodu , najpierw na fiata 125p, a później na poloneza, trasy naszych wyjazdów przedłużały się. Wykorzystywałem możliwości jakie dawał zakład pracy i jeździłem z rodziną na wczasy wymienne, dwukrotnie do NRD w góry Harzu i podobnie na Węgry w góry koło Peczu. Wyjazdy zagraniczne razem z dziećmi były do Rumunii i Soczi. Bez dzieci byliśmy w Jugosławii. Wszystkie te wyjazdy były bardzo udane i pełne wrażeń. Z ciekawostek, które utkwiły mi szczególnie w pamięci, to pobyt w Soczi. Mieszkaliśmy tam w przyzwoitym hotelu z dobrym wyżywieniem i ładną plażą hotelową. W czasie któregoś z pobytów na plaży, podeszła do Joli malutka dziewczynka i z uroczym uśmiechem powiedziała: „Ciocia daj kopiejku na wodiczku „. Chodziło o wodę sodową sprzedawaną w

automatach na plaży właśnie za kopiejkę. Oczywiście dostała monetę na wodę z sokiem. Sposób tej prośby, zacytowany fonetycznie, a wypowiedziany przez malutką dziewczynkę, był na tyle uroczy , że każdy z nas to zapamiętał.

Podane powyżej skrócone opisy naszych wyjazdów , można by było rozwijać, ale zanudziłbym pewnie czytelników. Każdy taki wyjazd mamy szeroko udokumentowany, zarówno zdjęciami jak i slajdami, ale w naszej pamięci każde z tych miejsc pozostanie.

Syrenką po kraju

Moja rodzina

Nie sposób ominąć tematu mojej rodziny pisząc o dziejach własnej osoby. Ożeniłem się wcześnie bo w roku 1951. W Gdańsku w Urzędzie Stanu Cywilnego związałem swoje losy z Ireną, moją sympatią z lat gimnazjalnych. Zamieszkaliśmy w przydzielonym mi pokoiku przy ulicy Krowoderskiej. Po przeniesieniu mnie do Bydgoszczy najpierw pojechałem tam osobiście, aby przygotować nasze kolejne już mieszkanie. Pierwsze nasze lokum w Bydgoszczy było w Brdyujściu przy śluzie. Dostałem tam duży pokój z dużą kuchnią . W czasie mojej służby wojskowej żona otrzymała ze swojego zakładu pracy mieszkanie w Bydgoszczy na Osiedlu Leśnym. Tam urodziła nam się córka Jola, a już po moim powrocie z wojska i otrzymaniu następnego mieszkania, urodził się nam syn Jacek. Dzieci dorosły, pokończyły studia i założyły swoje rodziny. Jola ukończyła Uniwersytet Marii Curie – Skłodowskiej uzyskując tytuł magistra, a Jacek skończył Akademię Techniczno – Rolniczą z tytułem magistra inżyniera. Zarówno Jola jak i Jacek mają po dwoje dzieci. W efekcie oboje z Ireną doczekaliśmy się czworo wnuków, a

obecnie w roku 2013 pojawiła się również nasza prawnuczka Zuzia, córka wnuczki Natalii urodzona w Notthingam -Anglia. Trzymamy się wszyscy razem w Bydgoszczy.Jedyną wędrowniczką z naszej rodziny jest Natalia ,która szukała swego miejsca,początkowo w Niemczech a następnie w Angli .Osiadła tam chyba na dłużej,inwestując w sklep ,a obecnie myśląc o kupnie domu .Czas przyniesie odpowiedź na ostateczną decyzję. Każde z dzieci posiada własne mieszkanie. Mają swoją pracę, własne problemy, własne radości. Teraz przychodzi czas na następne pokolenie .Każde z naszych wnuków zaczynaja mysleć o założenie swoich rodzin i wyboru wlasnej drogi. Oby życie dało Im warunki stworzenia wlasnnych szczęsliwych rodzin.

Ogniową próbę przeszliśmy wszyscy w sierpniu 2012 roku. W trybie nagłym zostałem skierowany przez naszego lekarza rodzinnego do szpitala na oddział chirurgii naczyń. Rozpoznanie - ostre niedokrwienie stopy i zakrzepica naczyń. W trybie pilnym w nocy tego samego dnia była pierwsza operacja i kolejne dwie w następnych dniach z jednodniowymi przerwami. Niestety dwie pierwsze operacje nie dały rezultatów udrożnienia naczyń. Przed trzecią, była konieczność uzgodnienia mojej decyzji z rodziną.

Musiałem to zrobić, bo zdawałem sobie sprawę jakie obciążenie będzie miała rodzina z inwalidą. Stało się. Musiałem podjąć decyzję szybko, bo groziło przemieszczenie się zakrzepu.W czasie pobytu w szpitalu każdego dnia była ze mną Jola na zmianę z Ireną moją żoną.Przychodził Jacek ze swoją rodziną aby podtrzymywać mnie na duchu. Były to trudne chwile.Po naradzie z całą rodziną wyraziłem zgodę na drastyczne rozwiązanie. Operacja amputacji lewej nogi odbyła się w dniu 22 sierpnia 2012 roku .W czasie operacji w holu czekał na mnie Jacek ze swoją córką Olą. Zobaczyłem ich w chwili przewożenia mnie po operacji do pokoju, w którym poprzednio leżałem. Obecność ich podtrzymała mnie na duchu. Jakoś nie mogłem uzmysłowić sobie faktu amputacji lewej nogi powyżej kolana i dalszej mojej egzystencji.

Cały ciężar opieki nade mną spadł na barki mojej żony i córki Joli, które w pierwszych tygodniach po powrocie ze szpitala zajmowały się mną. Było im naprawdę ciężko. W pierwszym okresie byłem zupełnie bezradny. Miałem problemy z wstawaniem z łóżka i przesiadaniem się na wózek inwalidzki. Były problemy z czynnościami fizjologicznymi i myciem. Często w nocy potrzebna była pomoc i co najważniejsze

ją otrzymywałem. Z biegiem czasu stawałem się coraz bardziej samodzielny i w mniejszym już stopniu obciążałem moje dwie „pielęgniarki”. W moim pokoju Jacek z synem Joli przygotowali mi tapczan, przestawiając meble i instalując telewizor naprzeciw tapczanu. W sumie cala rodzina w tym, bardzo dla mnie trudnym okresie, zdała egzamin na piątkę z plusem. Jestem im wszystkim bardzo za to wdzięczny. Praktycznie cała bydgoska rodzina przyczyniła się do tego, że nasze życie - Ireny i moje, stało się lżejsze. Powstało wiele utrudnień związanych z moim brakiem możliwości prowadzenia samochodu, zakupów i zaopatrzenia bieżącego domu oraz załatwiania różnych spraw. Jakieś w tych tematach znalazło się rozwiązanie . Zarówno rodzina Jacka, a w tym szczególnie jego żona Ewa oraz Jola organizowały dostawy środków żywnościowych . Były też wyjazdy z moją żoną Ireną po zakupy. Obecnie korzystamy z możliwości zamówień online w Tesco i Almie, które to sklepy dostarczają zakupy do domu. Jest to duże ułatwienie.

Wracając zaś do moich dolegliwości muszę poinformować czytelnika o tym, że intensywnie przeprowadzam rehabilitację zarówno dojeżdżając samochodem na salę przy przychodni na ul. Czerkaskiej, jak i korzystając z rehabilitanta

przychodzącego do domu. Myślę, że może z czasem będę w stanie chodzić najwyżej z jedną laską. Nie jest to jednak takie łatwe. Brak sił i niestety lata na karku sprawiają, że to co wydawało się pierwotnie proste, to jednak sprawia mi duże trudności.

Moje hobby

W poprzednich rozdziałach poruszałem temat krótkofalarstwa nie podając skąd wzięły się te zainteresowania. Można by temat skwitować krotko. Rozpoczęcie nastąpiło w wojsku gdzie nauczyłem się pracy na radiostacjach, nabrałem doświadczenia w stosowaniu radia w czasie praktyk na okrętach, a w efekcie zaraziłem się tym bakcylem na długie lata. Po powrocie z wojska pierwsze kroki skierowałem do klubu Ligi Przyjaciół Żołnierza z stacją o znaku SP2KAE. Tam po poznaniu zasad pracy na pasmach amatorskich stałem się jednym z operatorów pracujących na telegrafii. W następnych miesiącach klub zasilili kolejni rezerwiści. Większość z nich to przyszli nadawcy indywidualni. Wszyscy staraliśmy się od początku o indywidualne zezwolenia. W tamtym okresie na licencje czekano zwykle co najmniej rok. Tak też się stało. Z naszej grupy w marcu 1957 roku przybyły trzy nowe znaki. Otrzymali je Zbyszek SP2IU, ja -SP2IW i Mundek SP2JL. We trójkę dotrwaliśmy do dnia dzisiejszego jako przyjaciele z dawnych lat. Każdy z nas w zasadzie miał trochę inne zamiłowania. Zarówno Zbyszek jak i ja preferowaliśmy Dx-owanie, czyli

zdobywanie potwierdzeń od największej ilości krajów, a ściślej to tzw. podmiotów DXCC. Czym to się różni należy wyjaśnić. Tak zwana lista DXCC służąca jako podstawa do współzawodnictwa między krótkofalowcami jest znacznie większa od faktycznie uznawanych krajów przez ONZ. Różnica polega na traktowaniu jako odrębny podmiot na przykład wysp spełniających warunki odrębności. Przykładem są wyspy podlegające formalnie Wielkiej Brytanii, ale odległe od kraju macierzystego (położone w kanale pomiędzy Wielką Brytanią a kontynentem europejskim). Są to Jersey i Guernsey, które są odrębnymi podmiotami, podobnie wyspa Man i cała grupa wysp greckich. Ilość podmiotów zmienia się dosyć często. Powodowane jest to zmianami politycznymi i powstawaniem nowych krajów np . podział dawnej Czechosłowacji na dwa odmienne kraje Czechy i Słowację. Podobnie dawna Jugosławia, z której powstały :Chorwacja, Serbia, Macedonia i Czarnogóra. Na dzień dzisiejszy, kiedy to pisze (05.10.2013) ilość podmiotów równa się 340.

Przez cały okres mojej krótkofalarskiej pracy korzystałem z kolejnych urządzeń. Na początku były one własnej konstrukcji, a po powrocie z Iraku już na urządzeniach fabrycznych: kolejno

Yaesu FT 102, Yaesu FT 1000 i obecnie Yaesu FT 1000Mp Mark V. Ze względu na to, że mieszkam w bloku wielorodzinnym , pracuję mocą jedynie 200 W, pomimo posiadanie zezwolenia na moc 500 W. Antena pionowa GP7 i dipol na 3,5Mhz dopełniają całości. Chęci byłyby większe. Zawsze marzyłem o antenach kierunkowych, ale niestety nie w tych warunkach zamieszkania. Cieszyć się mogę z tego,że obecnie mam potwierdzonych 339 podmiotów dxcc . Wynika z tego , że brakuje mi aktualnie nie zrobiony i nie potwierdzony jeden podmiot - jest to wyspa Bouvet. Aktualnie pracuję na pasmach okazjonalnie, wyszukując co ciekawsze stacje. Jestem oczywiście na paśmie co niedziele rano prowadząc od 1987 roku spotkania członków i sympatyków Ogólnopolskiego Klubu Seniorów Polskiego Związku Krótkofalowców. Jako członek tego klubu z numerem kolejnym 32 od 1993 roku jestem Prezesem tego Klubu do dnia dzisiejszego. Nie przerwała tej prezesury moja operacja w przeddzień Zjazdu Sprawozdawczo – Wyborczego w sierpniu 2012 roku. Uczestnicy Zjazdu wiedząc o moim pobycie w szpitalu, podjęli decyzje o przedłużeniu mojego mandatu na dalsze lata Przyznam teraz, że było to dla mnie dodatkowym impulsem do dalszego życia. Tego typu impulsów było więcej. Otrzymywałem

wiele maili od kolegów, zarówno w trakcie pobytu w szpitalu, jak i później. Jestem im bardzo wdzięczny za słowa otuchy. W tym samym roku w grudniu odbył się też Zjazd Sprawozdawczo – Wyborczy Oddziału Bydgoskiego PZK, w którym prezesowałem bez przerwy przez 28 lat. Ze względu na stan mojego zdrowia zrezygnowałem z dalszego kandydowania.

Za całokształt mojej pracy społecznej w Polskim Związku Krótkofalowców nagradzano mnie kolejno: Odznaką Honorowa PZK, Złotą Odznaką Honorową PZK, a na ostatnim Zjeździe Delegatów PZK, który odbył się w maju 2012 roku w Łowiczu, otrzymałem przyznany uchwałą Zjazdu, tytuł Członka Honorowego PZK.W zasadzie powinienem czuć się człowiekiem spełnionym , ale czy jest tak naprawdę ?

Moje refleksje

Kończąc temat mojego życia zastanawiam się jakie ono było? Od chwili podjęcia pracy zawodowej starałem się tak wykonywać swoje obowiązki, aby zaspokoić potrzeby rodziny. Zgodnie z zasadą, że trzeba liczyć tylko na siebie, powoli, ale systematycznie polepszałem swój byt. Nie było to łatwe w ówczesnych warunkach. Jako posag wyniosłem z domu jedynie, żelazko, przedwojenne radio Telefunken i pierzynę. Pracowaliśmy od początku naszego małżeństwa na miarę naszych możliwości. Zarobki w minionym okresie nie były rewelacyjne. Bez rozrzutności i oszczędzając można było co jakiś czas kupić coś do domu. Kiedy zrozumieliśmy, że bez podnoszenia kwalifikacji niewiele uzyskamy, podjęliśmy trud dalszego dokształcania. Irena podjęła naukę na kierunku ekonomicznym w Bydgoszczy, a ja rozpocząłem studia na Politechnice Szczecińskiej. Nie raz byłem, na siłę wypychany z domu, żeby jechać do Szczecina. Tu muszę podkreślić, że olbrzymią rolę w ukończeniu w terminie moich studiów miała moja żona. Czasem już miałem po prostu dosyć tych wyjazdów. Po ukończeniu studiów zaczęło być nam lepiej. Pojawiły się

w domu pierwsze symptomy luksusu na miarę tamtych czasów. Pralka w lepszej klasie, telewizor najpierw czarno-biały, a później kolorowy, a z czasem nawet własny pojazd. Zacząłem od skutera marki „Osa". Po nim były kolejne samochody, rozpoczynając od syreny 104, z której cała rodzina była dumna. Potem były już kolejno coraz to lepsze marki.

Sytuacja materialna naszej rodziny uległa zdecydowanej poprawie z chwilą mojego pobytu w Iraku i po moim powrocie. Zarobione na kontrakcie pieniądze zostały równo podzielone na trzy kupki, to znaczy jedna dla żony i dla mnie oraz pozostałe dla Joli i Jacka, naszych dzieci. To głównie zasługa naszej ekonomistki, czyli żony Ireny, która pilnowała, aby nikt nie został pokrzywdzony. Żona zawsze trzyma kasę, a robi to dobrze. Trzeba wziąć pod uwagę, że siła nabywcza dolarów, które otrzymałem za pobyt w Iraku, była wtedy zupełnie inna niż obecnie. Od tamtej chwili zaczęliśmy lepiej żyć.

Każdy pracował na siebie i na własną rodzinę i musiał wykorzystać szansę daną przez los. Mam na myśli naszą rodzinę i rodziny dzieci. Czasy były już inne. Z pracą też nie było tak źle, jeżeli oczywiście miało się chęć jej podjęcia. Czasem trudno mi zrozumieć dziś ludzi, którzy nie mając

pracy nic nie robią aby ulżyć rodzinie. Są po prostu mało odpowiedzialni.

Obecne życie jest zdecydowanie inne. Obserwując ludzi, którzy rozpoczynają swoje dorosłe życie dostrzega się, że nie patrzą daleko w przyszłość, a skupiają się jedynie na dniu dzisiejszym. Społeczeństwo stało się bardziej konsumpcyjne, nie planujące swojego życia na dłuższą metę. Praca społeczna w zasadzie powoli zanika. Zainteresowanie tym aby coś zrobić dla innych, znajduje coraz mniej zwolenników.Tych różnic pokoleniowych jest zdecydowanie więcej. Zastanawiam się często, jaka jest tego przyczyna? Dlaczego teraz ludzie są bardziej nieufni, nie wyrażają chęci pomocy drugim. Dlaczego są tak zawistni i wrogo nastawieni do wszystkiego co nie ich ? Tych, „ dlaczego”, jest zdecydowanie więcej.....

Czytając te moje wspomnienia o własnym życiu i mojej rodziny, zastanówcie się jakie jest Wasze życie? Czy również wypełnione pracą tak jak moje, a przede wszystkim życzliwością dla innych ludzi? W motto zamieszczonym na wstępie książki napisałem – „ Uczyń życie szczęśliwszym dla siebie i innych „. Starałem się to zawsze robić i Ciebie Drogi Czytelniku gorąco do tego zachęcam. Jeśli lektura tej książki wywołała chwilę zadumy,

to jestem w pełni usatysfakcjonowany. Dodam, że poznałem w życiu wielu wspaniałych ludzi. Pozostaną oni na zawsze w mojej pamięci.

Listopad 2013 roku

Spis treści:

Dzieciństwo.....7
Lata nauki.....11
Służba wojskowa.....13
Już w cywilu.....17
Iracka przygoda.....19
Już w Iraku.....25
Dzień pierwszy.....29
Przejęcie budowy i kolejne niespodzianki.....35
Wizyta u gubernatora.....38
Kraj w dorzeczu Eufratu i Tygrysu.....40
Moje irackie siedlisko.....45
Dzień jak co dzień.....48
Budowa.....52
Wojna.....57
Ramadi.....74
Fauna i flora.....78
Moje pierwsze Boże Narodzenie
poza granicami kraju.....84
Ramadan - wpływ islamu na codzienne
życie Polaków.....89
Samochód jako podstawowy sposób
poruszania się w Iraku.....95
Moje krajowe hobby a Irak.....102
Wojaże turystyczne po Iraku.....111
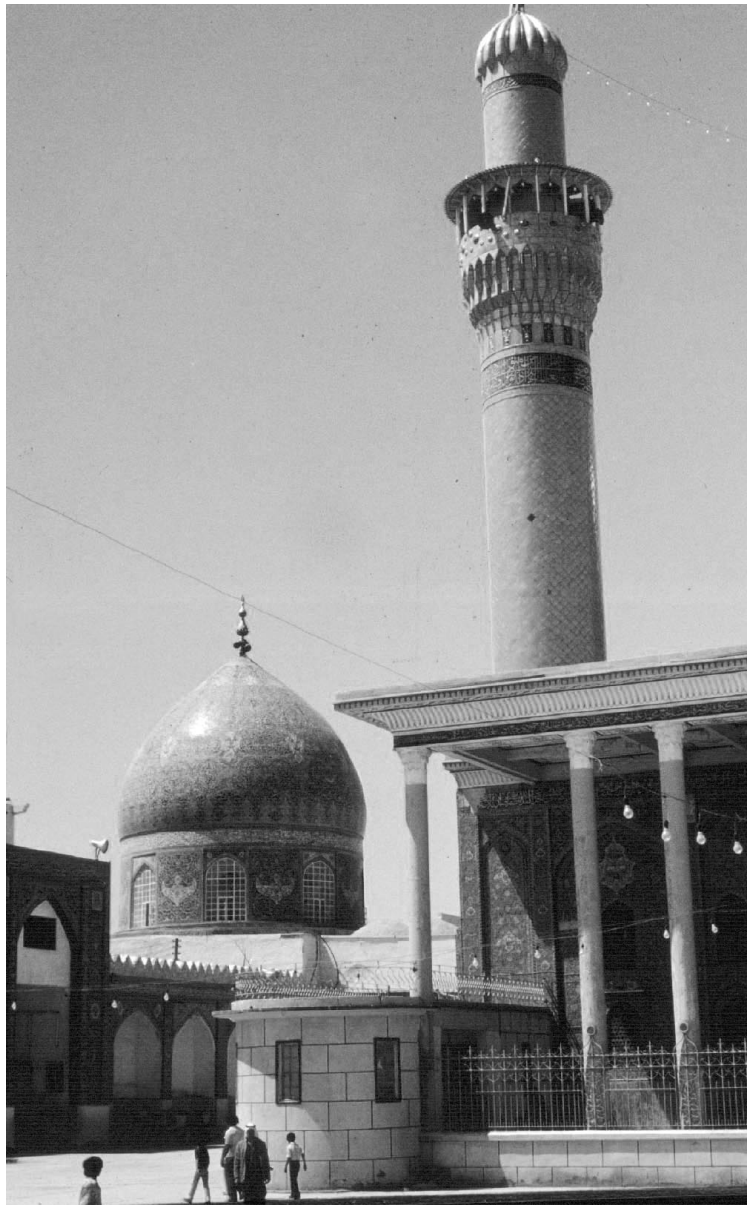
Codzienne życie wśród Arabów.....126
Wyjazdy służbowe i prywatne do sąsiadów....144
Ostatnie dni na budowie.....167
Już w kraju.....170
Na zwolnionych obrotach.....175
Ocena mojej pracy.....178
Wypoczynek i rekreacja.....179
Moja rodzina.....183
Moje hobby.....188
Moje refleksje.....192